NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZIELONA 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

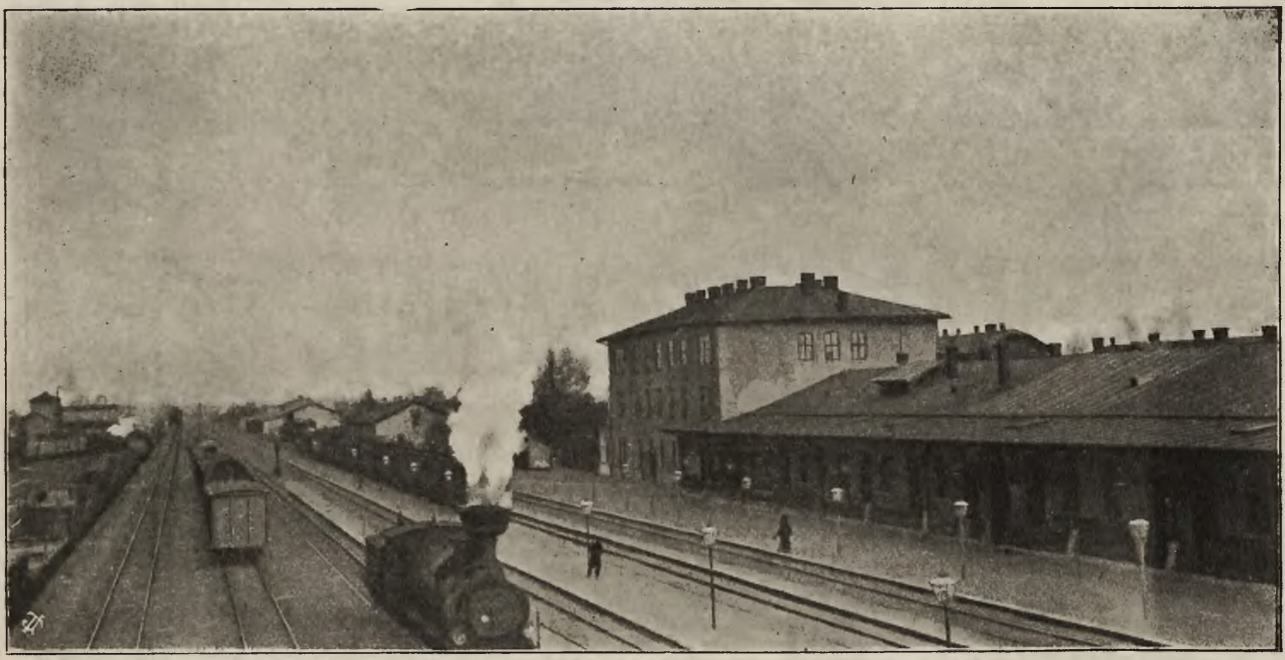
Rok II. Kraków, 8 kwietnia 1905 r. Nr. 15.

Odkrycie tajnej drukarni rewolucyjnej w Warszawie.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Fot. amator. p. Rzący. Kraków.

„Na Saksy": Dworzec kolejowy w Oświęcimiu

Od Administracyi.

Z dniem 1-go kwietnia Redakcya i Administracya naszego pisma przeniesloną została na ul. Zacisze L. 7, 1 piętro.

Odkrycie tajnej, rewolucyjnej drukarni w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Prasa warszawska, mająca bezprzeczny a wielki wpływ na opinię publiczną — jest jednak zupełnie ubezwładnioną i skrępowaną tendencyjnemi przepisami cenzury. Kwestye polityczne i społeczne są prawie kompletnie wykluczone z programu pism, boć przecie nawet najoględniej pisane artykuły, przechodzą jeszcze przez filtr cenzury, tak, że to co publiczność, jako drukowane słowo, do rąk dostaje — nietylko nie daje czytelnikom pojęcia o bieżących sprawach, ale nawet dzięki bezmyślnym cenzurom, sprawia nieraz wprost humorystyczne wrażenie. Samo przez się rozumie się, że o przebiegu rewolucyi w Królestwie i Rosyi pisać nie wolno, a przynajmniej nie wolno pisać prawdy. Nie wolno również podawać autentycznych



„Na Saksy": Stanisław Dębno Krzyżanowski, komisarz c. k. policyi na dworcu w Oświęcimiu.



Bank rosyjsko-chiński w Porcie Artura: Widok gmachu bankowego po kapitulacyi twierdzy.

faktów z pola walki na Dalekim Wschodzie. Wszystkie odnośne depesze, nawet depesze urzędowej Petersburskiej i Rosyjskiej Ajencyi telegraficznej, przechodzić muszą podwójną cenzurę: raz zwykłą, obowiązującą, prewencyjną cenzurę dla dzienników, powtóre cenzurę wojennego sztabu warszawskiego. Można sobie wyobrazić, jak wygląda każda depesza po dwukrotnem zoperowaniu przez obydwie cenzury!

Tak się przedstawia sprawa uciemiężonej przez Moskali prasy polskiej.

Ale prócz koncesyonowanej, podlegającej cenzurze prasy - jest jeszcze inna, która drwi sobie z wszystkich przepisów i cenzorów. To tajna prasa.

Jedną z podziemnych takich pracowni, skąd właściwie padają najpotężniejsze gromy w gmach caratu — przedstawia nasza rycina.

W piwnicy, przy mdłem świetle naftowej lampki — zecerzy kończą właśnie składanie rewolucyjnego pisma, a jeden z nich odbija pierwsze stronnice na podręcznej maszynie. W tej chwili wtargnęła żandarmerya. Chwila popłochu — a potem walka na śmierć i życie. Spiskowcy umieją drogo sprzedać wolność i życie swoje, a przedewszystkiem bronić tajemnicy sprzysiężenia.

W danym wypadku jednak — przedstawionym na naszym rysunku - żandarmerya powiadomiona widocznie przez jakiegoś zdrajcę - odniosła tryumf. Spiskowych ujęto i osadzono w kazamatach warszawskiej cytadeli, skąd dwie tylko drogi prowadzą: na Sybir, lub - szubienicę...



Fot. amator. p. Rzący. Kraków.

„Na Saksy": Grupa polskich i ruskich robotników, odjeżdżających do Prus na robotę.

„NA SAKSY".

Z pierwszemi promieniami wiosennego słońca — objawia się u nas stale pewien ruch między wiejskim

proletaryatem. Gorączka emigracyjna ogarnia szary tłum roboczy — który gromadnie, niby wędrowne ptactwo ciśnie się ku obczyźnie—za chlebem i zarobkiem.

„Na Saksy!“ oto hasło, które rozbrzmiewa o tej porze po całej Galicyi. Starzy i młodzi, chłopcy i dziewczęta marzą jeno o tem przez całą zimę, aby z pierwszym podmuchem wiosennego powietrza — porzucić zakopcone chałupy i wyrwać się w świat daleki.

Ile w tej podróży ginie fizycznie, a więcej moralnie jeszcze – jak włóczęgostwo to sezonowe demoralizuje nasz lud wieśniaczy – ten tylko ma o tem wyobrażenie, kto żył między tymi ludźmi. Prosty chłop, nieprzyzwyczajony do dostatku i zbytku właściwego zachodowi — wróciwszy do domu czuje w dwójnasób swoją niedolę i biedę — powoli wyradza się z niego malkontent, pogardzający wszystkiem co własne, półmądrala rezonujący o świecie i ludziach, których zaledwie powierzchownie miał sposobność poznać. Wielu z nich wraca ze steranem zdrowiem — nierzadko i kalectwem do rodzinnych progów, wielu staje się rozsadnikami fizycznego i moralnego niezdrowia, szerzącego się potem epidemicznie po nadgranicznych gminach. O tem wszystkiem nie myślą biedne, przelotne ptaki.“ Nadzieja zarobku silniejszą jest nad wszelkie skrupuły i wątpliwości.

Nadzieje nie zawsze dopisują emigrantom — zarobek ich za całe lato ciężkiej, mozolnej służby u obcych, ogranicza się do kilkudziesięciu guldenów zaledwie, a i z tej marnej kwoty opłacać muszą biedni ci ludzie rozmaite daniny pośrednikom pracy i agentom. Dworzec kolejowy w Oświęcimiu jest głównym punktem zbornym, a zarazem pierwszym etapem ich podróży. Tu spotykają się pośrednicy galicyjscy z pruskimi, tu zawierają transakcye—tu dostawiają sobie ten biedny, żywy towar ludzki, z którego czerpią nieczyste swoje zyski. „Obieżysasi“, jak się sami emigranci w gwarze swojej nazywają, rozjeżdżają się z Oświęcimia w pruskie pogranicze do Mysłowic, Katowic, ba! nawet i w głąb Niemiec, do Wrocławia i Berlina, zależnie od tego, do której miejscowości przez agentów zostali zaangażowani. Proceder agentów, o ile nieuczciwy, o tyle jest nader rentowny. Rozporządzają oni całą armią subagentów i naganiaczy, którzy po wsiach i miasteczkach werbują ludzi do emigracyi. Za dostarczony towar płacą im odbiorcy. Pogłówne, czyli prowizya, wynosi od sztuki 2—10 marek. Prócz tego i robotnik, pędzony na to targowisko, opłaca się im. Kwota ta wynosi 1—5 koron. Nie na tem jednak tylko ogranicza się zysk agentów. Pod rozmaitemi pozorami wyłudzają oni ostatni ich grosz. Każą sobie płacić to za wyrobienie paszportu, to za wyjednanie zniżonej ceny jazdy, za odprowadzenie do granicy, i t. p.

Niezadługo jednak wyrwie się łup tym hyjenom pogranicznym. Ustawa krajowa powołała bardzo potrzebną i pożyteczną instytucyę do życia: powiatowe biura pracy, których zadaniem jest bezpłatne dostarczanie pracy, tak w kraju, jak i zagranicą. Biedni ludzie nie będą więc nadal zmuszeni do uciekania się pod opiekę agentów, ani do przymusowego opłacania im haraczu. Biur takich jest około 20 w Galicyi. Najgłówniejsze takie biuro jest w Oświęcimiu. Gmach stoi tuż obok dworca kolejowego. Naprzeciw niego w okazałym, a specyalnie na ten cel postawionym budynku, mieści się „Schronisko dla robotników“. Piękna ta humanitarna instytucya powstała dzięki inicyatywie i ofiarności dostojnego ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Robotnicy znachodzą tam ciepły kąt do spania i zdrowy, obfity posiłek.

Tak więc ustawa i dobroczynność publiczna, wzięły w opiekę polskiego robotnika.

Pisząc o emigracyi i jej biednych ofiarach, niepodobna nie wspomnieć o zacnym, dzielnym człowieku, który z prawdziwem poświęceniem i zaparciem się własnem, oddaje nieposlednie usługi biednym emigrantom. Jest nim komisarz policyi— Stanisław Krzyżanowski, eksponowany z krakowskiej dyrekcyi do Oświęcimia. Zawsze gotów radą, czynną pomocą, a nawet i pieniężną ofiarą — wesprzeć potrzebującego—zdobył sobie Krzyżanowski wdzięczność i miłość roboczego ludu, społeczeństwu zaś zasłużył się niepospolicie.

W numerze niniejszym, obok zdjęć dworca w Oświęcimiu i grupy robotników odjeżdżających na Saksy – podajemy zdjęcie, przedstawiające emigrantów, informujących się u komisarza Krzyżanowskiego – oraz portret tego dzielnego opiekuna i obrońcy roboczego ludu.



Fot. amator. p. Rzący. Kraków.
„Na Saksy“. Grupa robotników informująca się u komisarza p. Krzyżanowskiego.

Bank rosyjsko-chiński w Porcie Artura.

Port Artura, ten widomy znak potęgi i panowania Rosyi nad Oceanem Wielkim, był przed rokiem jeszcze ośrodkiem zyskownego handlu ze Wschodem, przynoszącego Rosyi miliony!

Na budowle w Porcie Artura i Dalnym wydała Rosya olbrzymie sumy, tak, że i zewnętrzny widok tych miast mówił o ich bogactwie i skarbach, leżących w tych portach.

W czasie walk na półwyspie kwantungskim były to miasta znowu widownią głównych walk a zajęcie Dalnego i Portu Artura przez Japończyków będzie datą historyczną w rozwoju Wschodu azyatyckiego.

Stosunki polityczne były niejako związane z temi portami. I dlatego nie wiele jest miast, które by miały tak krótką, a tak ważną w daty historyę za sobą, jak Dalny i Port Artura.

Obecnie półwysep kwantujski jest cały w rękach Japończyków, a Port Artura z biegiem czasu zamieni się na ważny port wojenny, fortyfikowany starannie przez inżynierów wojskowych.

Zniszczone budynki, z których po większej części pozostały tylko gruzy, zostają na nowo odbudowane. Powoli podnosi się miasto z ruin, a życie i ruch portowy zostaje na nowo przywrócony.

Jednym ze znaczniejszych budynków był bank rosyjsko-chiński w Porcie Artura, którego rycinę obok zamieszczamy.

Dla scharakteryzowania spustoszenia, które sprawiły armaty japońskie, dodamy, że jest to jeden z budynków najlepiej zachowanych i najmniej uszkodzonych. A na tym najmniej uszkodzonym budynku widzimy, że kule japońskie nie chybiały, że musiały niszczyć strasznie i wypędzać ludzi z najskrytszych kryjówek.

Bank rosyjsko-chiński, przechodząc w ręce japońskie, nie przyniósł im jakichś znaczniejszych korzyści w papierach lub złocie – a nawet sam budynek jest bez wartości i nadaje się tylko do zburzenia.



Fot. amator. p. Rzący. Kraków.
„Na Saksy“: Odjazd z Oświęcimia pociągu z robotnikami polskimi do Prus.



Kwiat Nędzy

POWIEŚĆ

TOM II.

27 (Ciąg dalszy).

Piotr nie czekał długo na gospodarza domu. Po chwili poruszyła się wschodnia kotara nad przeciwległemi drzwiami, a pod nią ukazał się człowiek średniego wzrostu, o twarzy pełnej dobrotliwego wyrazu. Uścisnął życzliwie rękę przybyłemu i rzekł:

— Mam dla ciebie, mój drogi, dobrą wiadomość. Ni mniej, ni więcej, tylko będziesz musiał przyozdobić malowidłami na drzewie całą jedną olbrzymią komnatę, w starożytnym pałacu... a raczej zamku, należącym do rodziny, noszącej historyczne nazwisko.

Piotr aż zbladł z radości.

— No, no, mój chłopcze!... gdy szczęście wraz z pracą przychodzi, należy je witać spokojnie, bez zbyt wielkiego wzruszenia. Obstalunek zawdzięczasz księdzu Wielogrodzkiemu, który lubi protegować ludzi młodych, a utalentowanych. Wczoraj zapytał mnie, czy nie znam przypadkiem jakiego artysty z przyszłością, chciałby mu bowiem powierzyć udekorowanie sali rycerskiej w dworcu Zahajeckim.

— A pan mnie wymieniłeś! — zawołał młodzieniec, przejęty wdzięcznością.

— Rzecz naturalna! Przecież zrobiłem z ciebie artystę, moim zatem jest obowiązkiem czuwać nad tobą do chwili, w której zdobędziesz sławę i o własnych siłach będziesz mógł iść dalej. Czekaj! czekaj!... nie dziękuj! Przedewszystkiem wysłuchaj moich informacyj. Za kilka dni pojedziesz koleją żelazną do Lublina. Staniesz w hotelu Angielskim, gdzie czekać na ciebie będą konie i bryczka z Zahajec. Gdy przybędziesz na miejsce, przedstawisz się księdzu Wielogrodzkiemu, on zaś przedstawi cię swojej siostrze, księżnej... Przyjęty zostaniesz uprzejmie i życzliwie... Ale, ale, na wyruszenie z Warszawy, zaopatrzenie w przybory do malowania, przystrojenie się i podróż, potrzebujesz trochę pieniędzy, masz tu, mój drogi, sto rubli... Sądzę, że tyle wystarczy...

— Ach, jakże zdołam wywdzięczyć się panu? — zawołał Piotr, wzruszony do głębi.

— Pozostając uczciwym człowiekiem i rozwijając pracą wrodzony ci talent. To jedyne wywdzięczenie, o jakie proszę, za skromną pomoc, jaką wyświadczam ci z prawdziwą przyjemnością.

Pożegnali się serdecznie.

Piotr wyszedł uszczęśliwiony na ulicę, a Filip Glenmour pozostał sam w obszernej komnacie i zaczął się po niej przechadzać szerokimi krokami. Po chwili usiadł przy biurku, zasłonił twarz rękami i pogrążył się w smutnem zamyśleniu.

. . . .

Osiem lat temu przybył do Warszawy nikomu nieznany. Nabył plac przy ulicy Marszałkowskiej i wzniósł na nim piękny dwupiętrowy dom — niemal pałac. Urządziwszy i umeblowawszy wnętrze wytwornie i wygodnie, zamieszkał w własnej kamienicy, wraz z służbą, przywiezioną z Ameryki. Chociaż nikt o nim nic pewnego nie wiedział, opowiadano sobie w mieście, że posiada miliony. W istocie musiał być bardzo bogaty. Pracował czas jakiś w kopalniach dyamentów w Transwaalu, skąd przeniósł się do Chicago, gdzie wkrótce potem stanął na czele wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i poważnego domu bankowego, obracając olbrzymiemi kapitałami. Tam podobno potroił, już z południowej Afryki wywiezioną, znaczną fortunę Liczył wieku — jak sądzić można było z pozoru — od lat pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu. Krótko ostrzyżone włosy siwiały mu już nad skroniami. Oczy bystre i świecące, chociaż pełne łagodnego wyrazu, oświecały twarz jego ciemną, opaloną w gorących klimatach i pooraną głębokiemi zmarszczkami.

Nie ulegało wątpliwości, że ciężko niegdyś pracować musiał, bo takiego majątku, jaki posiadał, nie zbiera się próżnując. Już w bardzo młodym wieku, przybywszy do Afryki, zaprzągł się, jak murzyn-wyrobnik do najmozolniejszej roboty, jaką jest wydobywanie z piasczystych, przyrzecznych gruntów dyamentów. Następnie kopał złoto w oddalonych zakątkach dzikiego wówczas kraju, narażony nieustannie na groźne niebezpieczeństwa, mogące łatwo pozbawić go życia i mienia. Czynność jego i wytrwałość uwieńczyły pomyślne rezultaty. Wzbogacił się w względnie krótkim czasie. A jednak pozyskane i ubezpieczone skarby nie uczyniły go szczęśliwym, nie ukoiły zmartwień, szarpiących mu łono.

Bardzo często zamykał się w czterech ścianach i gorzkiemi zalewał się łzami. Niegdyś nie był sam na świecie; miał siostrę, którą kochał bardzo... lecz ona, zdeptała bezwstydnie honor własny i rodziny, znanej z prawości; dała się uwieść i została matką. Szlachecka duma wzięła w duszy jego przewagę nad braterską miłością. Zdawało mu się, że błąd siostry okrywa go także hańbą, więc postanowił nie przebaczyć jej nigdy; starał się zapomnieć o istocie, miłowanej niegdyś gorąco.

Po wieloletniej pracy zmogło go nareszcie znużenie i owładnął nim pewien rodzaj wstrętu do gromadzonych bez celu bogactw — do tego złota, za którem gonił tak długo i zapamiętale. Powziął zamiar powrócenia do ojczystego kraju, pod nazwiskiem, które przybrał w Ameryce. Nie zdając sobie może nawet jasno sprawy z uczuć, jakie nim poruszały, wyruszył z Chicago z myślą odszukania siostry i zajęcia się losem jej dziecięcia, potrzebował bowiem do kogoś się przywiązać. Dzięki rozległej i nieustannej korespondencyi, jaką prowadził z Europą, jeszcze za oceanem dowiedział się o nazwisku uwodziciela. Był nim hr. Jelski... siostrą zaś jego, Janina Żarska, matka doktora Żarskiego, babka Zosi i Sabinki.

Pojawił się na bruku warszawskim w parę miesięcy po zgonie hrabiego, w kilka zaś dni po wyroku, skazującym Marcina za morderstwo na Sybir. Nie znając ani jego przeszłości, ani męczeńskiego żywota siostry, sądząc o całej sprawie z tego, co słyszał i czytał w dziennikach, przedstawiał sobie Janinę tylko jako matkę zbrodniarza, kobietę nikczemną, zasługującą na pogardę, do pokrewieństwa z którą przyznawać się nie można. I znowu duma wzięła górę nad sercem. Postanowił wyrzec się raz na zawsze swego rodowego nazwiska i pozostać dla całego miasta, a nawet dla najbliższego otoczenia, Filipem Glenmourem, obywatelem Stanów zjednoczonych północnej Ameryki, goszczącym chwilowo za amerykańskim paszportem w Polsce przez ciekawość, w celu poznania bliżej narodu, który wydał jednego z bojowników, walczących za niepodległość jego ojczyzny u boku Waszyngtona. Utrzymywał, że ze względu na cześć dla Kościuszki, nauczył się od jednego z naszych emigrantów polskiego języka, że włada nim wcale poprawnie, chociaż wymowa jego grzeszy obcym akcentem.

Chociaż całą siłą woli zmuszał się do zapomnienia, czuł, że nie może zapomnieć o Janinie. Noce całe spędzał bezsennie. Cierpiał strasznie, myśląc, że siostra żyje w niedostatku, że jest opuszczoną od Boga i ludzi, że sama jedna czuwa nad wnuczkami, pozbawionemi środków utrzymania i rodzicielskiej opieki. Wyrzuty sumienia nie dawały mu chwili spokoju. Zadawał sobie nieustannie pytanie: żali istotnie nie był zbyt surowym i czy nie sprzeniewierzył się obowiązkowi, jaki los mu wyznaczył.

Ksiądz Wielogrodzki, widujący się z Filipem niemal codziennie, łamał sobie nieraz głowę dla czego czoło człowieka bogatego i niewysłowienie dobrego, miłosiernego dla wszystkich biednych, a którego on traktował jak przyjaciela, pokrywa się niezmiernie często czarnemi chmurami smutku.

Glenmoure, bardzo często zapraszanym bywał przez księżnę na obiady, a przy stole, Zosia siadywała zwykle przy nim, albo naprzeciw niego. Imię i nazwisko — Zofia Żarska — pod jakiemi ją wielka pani przedstawiła Filipowi, zastanowiły go w pierwszej chwili, lecz zacna matrona, nie chcąc pod żadnym pozorem zdradzić tajemnicy, rzucającej cień na pochodzenie dziewczęcia, mówiła z nim o jej rodzinie, jak o dobrze sobie znanej i oddawna osiedlonej w lubelskiem. Szlachetna kobieta, która nigdy ust swoich nie skalała kłamstwem, tym razem nie wahała się kłamać, byle tylko ochronić reputacyę ukochanej pupilki od wszelkich podejrzeń. Ciekawość Filipa, momentalnie silnie podrażniona, uspokoiła się rychło. Pewny był, że nic wspólnego nie łączy go z Zosią. Zresztą myślał w duchu: „Żarskich w Polsce, należących do kilku niespokrewnionych z sobą familij, jest przynajmniej tylu, ilu Zaleskich, a jak wiadomo z Zaleskich możnaby utworzyć pułk cały!“

. . . .

Warszawa pustoszała coraz bardziej. Cały świat arystokratyczny wyruszył już lub wyruszał na wieś, do zdrojowisk zagranicznych i nad morze. Księżna Amelia Sieńska jedyna może, nie opuszczała jeszcze miasta, chociaż wszystko w pałacu przygotowane było do jej wyjazdu. Zajęta wraz z Zosią szyciem koszulek, kaftaników, spódniczek i czepeczków dla dzieci wiejskich w Zahajcach, spędzała dnie całe w niewielkim, lecz gęsto zakrzewionym ogródku przy ulicy Smolnej, w którym sobie i swej wychowance kazała nawet podawać śniadanie, a niekiedy i objad.

Często gęsto i Jerzy, wstający znacznie później od ciotki, przychodził tu, aby pod zielonem sklepieniem altanki z dzikiego wina, kaprifolium i powoi, wypalić papierosa. Teraz właśnie, markotny, bo niewyspany po nocnej zabawie, kołysze się na fotelu biegunowym, popijając kawę z pięknej, starej, chińskiej filiżanki.

— Nareszcie, za dwa dni wyjeżdżamy — rzekła księżna. Cieszymy się obie z Zosią niewymownie. A ty, mój drogi, czy nie mógłbyś wybrać się z nami, albo w parę dni po nas przyjechać?... W Zahajcach odpoczząłbyś sobie, bo widzę, że jesteś bardzo zmęczony wesołem życiem warszawskiem. No, bawisz się wprawdzie niekiedy, lecz częściej sypiesz znudzony pieniędzmi na prawo

i lewo, nie kupując w rzeczy samej za nie żadnej przyjemności. Jak tak pójdzie dalej stracisz najmarniej w świecie pozostawiony ci przez ojca majątek...

— Czy ciocia konferowała w tym względzie z rządcą moim i adwokatem?

— Nie!... lecz słyszę od ludzi, którzy cię widują, że wydajesz nad miarę i możność, a wydając w ten sposób, czeka cię nieuchronna ruina.

— Ba! gdy się zrujnuję, pojmę sobie za małżonkę jaką bogatą żydóweczkę z milionowym posagiem...

— Niema co mówić, piękne zamiary! Wstydziłbyś się nawet żartem wyrażać się w taki sposób!

— Proszę cioci, w potrzebie człowiek radzi sobie jak może!

— Nie, nie, mój drogi... o zamiar ożenienia się dla posagu nie posądzam cię wcale. Wiem, że zbyt wysoko cenisz swoje nazwisko, oraz tradycyę rodową, jaką ci przekazali wszyscy Wielogrodzcy... lecz przypuszczam, że rachujesz na sukcesyę. Otóż powiem ci szczerze, że i na to bezwzględnie liczyć nie możesz. W głowach umierających rodzą się czasem różne dziwne myśli... Widywałam już nieraz w naszym świecie ludzi, wierzących głęboko w odziedziczenie olbrzymiego spadku, a których jednak w ich oczekiwaniach spotkał przykry zawód.

Jerzy, słuchając ciotki, mówiącej powoli i spokojnie, zwrócił na nią zdziwione oczy, jakby czekał na uśmiech żartobliwy i cofnięcie wypowiedzianych wyrazów, lecz księżna zamilkła, pochylając się nad robotą.

Młody człowiek powstał i dla ukrycia wzruszenia, zaczął się przechadzać po żwirem wysypanej ścieżce, okalającej altankę. Po chwili jednak wrócił, aby wzrok, pełen nienawiści, utkwić w twarzyczce Zosi, szyjącej nieustannie i nie zwracającej na niego uwagi. Widocznie jednak spojrzenie Jerzego musiało posiadać siłę magnetyczną, bo dziewczę opuściło nagle robótkę na kolana i podniosła pochyloną dotąd głowę. Źrenice jej skrzyżowały się z źrenicami młodzieńca. Drgnęła mimo woli, a zimny dreszcz przebiegł jej ciało.

Jerzy zaś myślał:

„Może ciotka marzy o wydaniu za mnie tej dziewczyny... lecz ja za nic w świecie z nią się nie ożenię! Nigdy żoną moją nie będzie... chyba... chyba kochanką... a wtedy księżna napędzi ją z domu... odepchnie od siebie, jak parszywą owcę, bo na pogardę tylko zasługuje ta przybłęda, pragnąca pozbawić mnie należnego mi majątku!“

I w tej chwili powziął silne postanowienie zbałamucenia intrygantki, która wydzierała mu upragnioną milionową fortunę.

Zerwał z pobliskiego krzaka różę, zbliżył się do Zosi, ukłonił się z przesadną nieco, lecz zarazem wykwintną grzecznością i uśmiechając się dwuznacznie, na wpół przyjaźnie, a na wpół złośliwie, podał kwiat dziewczęciu.

— Proszę przyjąć odemnie symboliczną różę, tak białą i czystą, jak pani. Wyrażam się stylem cioci.

Zosia drgnęła znowu, jakby wstrząśnięta prądem elektrycznym, lecz po krótkiej chwili wahania wzięła kwiat podany i przypięła go sobie do stanika.

— Jak to dobrze!... jak dobrze, moje dzieci! — zawołała księżna, patrząc z radością na Zofię i Jerzego — że zgoda zapanowała między wami. Czekałam na nią z upragnieniem. Teraz mam nadzieję, że Jerzy przyjedzie do Zahajec na całe at

— Przyjadę cіociu niezawodnie. Wyprawię nawet naprzód moje wierzchowe konie, a jeśli panna Zofia zgodzi się, to będę ją uczyć jazdy konnej...

— Boję się... — szepnęło dziewczę cicho.

— Ba! zaręczam, że pod mojem kierownictwem i opieką bać się pani przestanie i wkrótce przepadać będziesz za wspólnemi wycieczkami, na dwóch rasowych koniach, po łanach, polach i szerokich rozłogach. Dla pani przeznaczam moją klacz karą, łagodną jak sarenka, a szybką, jak wicher. Przeskakuje rowy i płoty z lekkością niesłychaną... Moja Murzynka jest cudownem zwierzęciem, ślicznem i mądrem: zakocha się w niej pani... zobaczysz!

— O, waryacie! waryacie! chciałbyś może, żeby Zosia rozpoczęła naukę konnej jazdy od przeskakiwania rowów? — mówiła pani Amelia, uszczęśliwiona słowami i zachowaniem się synowca.

Zosia jednak, jeśli nie zrozumiała, to przynajmniej odczuła, że pod pozornie uprzejmymi i życzliwymi wyrazami Jerzego, kryje się nienawiść i podstęp, że niemi właśnie wypowiada jej wojnę, że rozpoczyna zażartą walkę, jakąś nową bronią.

Skromna i na wskroś cnotliwa, zaniepokoiła się zmianą taktyki niemiłego sobie młodzieńca. Instynktownie lękała się Jerzego. Ten piękny chłopiec budził w jej sercu odrazę, nad którą zapanować nie umiała. Wzrok jego, przeszywający ją jak stalowe ostrze sztyletu i uśmiech niemal zawsze ironiczny, przejmowały ją obawą. Nie zdawała sobie sprawy ze wstrętu, jaki napełniał jej duszę ile razy do niej przemówił, chociaż prawił dalej same niemal komplementy. Siedzieli teraz przy ogrodowym stole naprzeciw siebie. Ona wciąż pochylała główkę nad robotą. Nie chciała podnieść oczu, aby nie spotkały się z wyzywającemi i błyszczącemi źrenicami młodego człowieka, bo wyraz ich mieszał ją i gniewał.

Księżna zaś nie dostrzegła ani ukrywanego przez wychowankę rozdrażnienia, ani przymusu, jaki sobie zadawała — lecz Jerzy widział doskonale wzruszenie, malujące się na twarzyczce Zosi, pełen jednak zarozumienia, przypisywał mu inne znaczenie. Roił już, że go skrycie kocha... może nawet oddawna.. więc głupia dziewczyna padnie wkrótce ofiarą i rzuci mu się sama w ramiona.

— Zatem — rzekł — rzecz postanowiona, w ciągu tygodnia jedziemy wszyscy do Zahajec.

— Pojutrze wyruszymy z Warszawy.

— W takim razie ciocia pozwoli mi odejść, bo mam niewiele czasu do upakowania się i pożegnania przyjaciół.

— Lecz zobaczę cię dziś jeszcze wieczorem, nieprawdaż?

— Przyjdę ciociu — odparł, chociaż nie myślał wcale uczynić zadość przyrzeczeniu.

Skłonił się i odszedł.

Zosi, jakby kamień spadł z piersi. Twarz dziewczęcia, dotąd dziwnie posępna, rozpogodziła się nagle.

— No powiedz-że mi, moja droga, jakże ci się dziś Jerzy podobał?

— Bardzo.

— Mówisz to z tak dziwną intonacyą głosu, że nie wiem doprawdy, czy mam wierzyć w szczerość twojego „bardzo“. Jerzy wprawdzie trochę waryat, jak dziś mówią: narwany, sądzę jednak, że w gruncie jest dobrym chłopcem. Musimy być wyrozumiałe i przebaczać mu niekiedy jego dziwactwa. Taki jeszcze młody!... A przytem można powiedzieć śmiało, że był nieszczęśliwy, bo fatalność już w dzieciństwie pozbawiła go czułej opieki ojca i matki. To też, pomimo starań, jakiemi go otoczyliśmy, ja i mój brat, tęsknił zawsze za rodzicami, chociaż ledwie jak przez sen ich sobie przypomina.

Po chwili księżna dodała po cichu:

— Dlatego, proszę cię, moja Zosiu, nie potępiaj go bezwzględnie, chociaż wiem, że często na potępienie zasługuje za swe niewłaściwe zachowanie się i szalone wybryki. Ksiądz wyrzuca mu rozrzutność... i w ogólności sądzi go może za surowo, bo myśli wciąż o przyszłości Jerzego.. o przyszłości ostatniego potomka rodu Wielogrodzkich... lecz ja staram się wpływać na niego uspakajająco i tłumaczę mu, że młodość wyszumieć się musi.

— Mniemam, że księżna pani ma słuszność — szepnęła Zosia, a oczy jej przysłoniła ciemna chmura smutku, czuła bowiem, że niepokój i trwoga, z których zdać sobie sprawy nie mogła, napełniły znowu jej duszę.



Zosia drgnęła znowu, jakby wstrząśnięta prądem elektrycznym...

Zacna matrona spoglądała na nią czas jakiś uważnie, jakby chciała zbadać najtajniejsze myśli dziewczęcia. Poczem powstała z krzesła, wzięła główkę sieroty w obie dłonie i rzekła:

— Wszakże nie jesteś zazdrosną o Jerzego, nieprawdaż?... Widzisz, ty mi zastępujesz ukochane dziecko, które niegdyś utraciłam, i stałaś się celem mego życia. Stokroć bardziej kocham cię od Jerzego. Myślę ciągle o zabezpieczeniu twej przyszłości, a pragnę, żeby była świetną. Podzielę majątek, jaki posiadam, na dwie części. Większa tobie się dostanie, bo jesteś kobietą... a Jerzy może pracą zdobyć zaszczytne stanowisko, przynoszące mu nadto znaczne dochody. Jestem pewną, że wkrótce znudzi się próżniaczem życiem, jakie wiedzie obecnie, a chcąc odzyskać czas utracony, gorliwie zabierze się znowu do studyów. Gdyby zaś cię pokochał.. i gdybyś ty go pokochała... byłabym najszczęśliwszą z kobiet... to szczyt moich marzeń...

— Ja — szepnęła Zosia z smutną jakąś słodyczą w głosie — ja nigdy nie pokocham nikogo... i za mąż nie wyjdę. Pomimo, że ledwie żyć zaczynam, uważam życie moje za skończone. Innego przywiązania, prócz miłości dla ciebie, dobrodziejko moja, znać nie chcę...

— Milcz! milcz! — zawołała księżna, przyciskając ją do piersi i składając na jej jasnem czole i na załzawionych powiekach gorące pocałunki. Wiem... wiem, opłakujesz ciągle zmarłą matkę i ojca, zesłanego na Sybir. Masz nieustannie na myśli straszny dramat, który rzucił cię w moje objęcia. Ach, czy ty mnie nigdy Zosiu nie będziesz tak kochać, jak ja ciebie kocham? Czy miłość moja nie wypełni twego serca? Spojrzyj mi w oczy.

Gdy płaczesz... i ja płaczę; gdy cierpisz... i ja cierpię. Kocham cię, jakbyś była moją rodzoną córką, a myśl, że mogłabyś mnie opuścić, doprowadza mnie do rozpaczy. Wiem, co cię obawą i niepokojem przejmuje... przeszłość, wyrok przez sąd na ojca twego wydany. Wstydzisz się swego nazwiska. Wymieniając je, zdaje ci się, że każdy z twojej twarzy wyczyta, że jesteś córką zbrodniarza.

C. d. n.

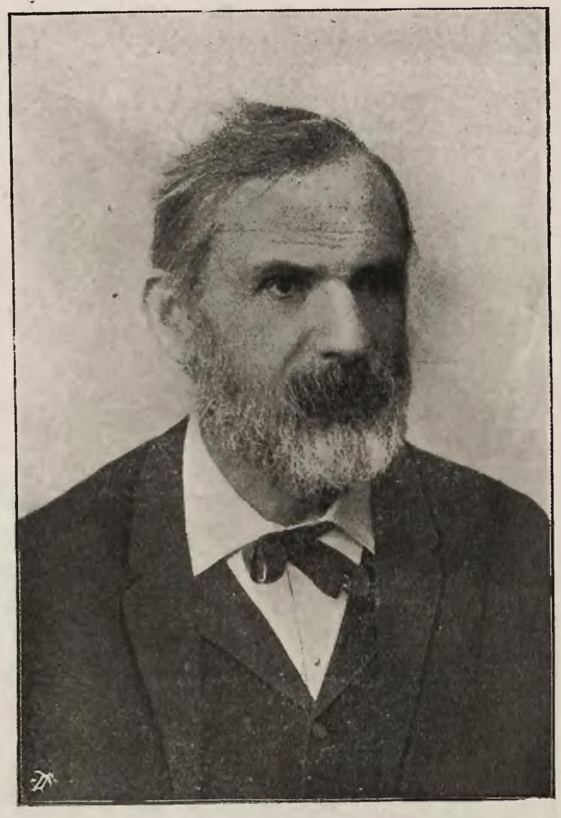
Wybuch bomby w Petersburgu.

W nocy z dnia 10 na 11 marca nastąpił w hotelu Bristol, mieszczącym się na rogu prospektu Wozniesieńskiego, straszliwy wybuch bomby, który wstrząsnął całym budynkiem i wywołał przerażenie w całej dzielnicy miasta.

Gdy po wybuchu weszła służba hotelowa i policya do pokoju, w którym nastąpiła eksplozya, znaleziono na ziemi dwa trupy: mężczyzny i kobiety. Po przeprowadzeniu rewizyi przekonano się, że zabity mężczyzna był członkiem organizacyi socyalistów-rewolucyonistów rosyjskich i że przybył prawdopodobnie po to, by dokonać zamachu na generała Trepowa, skazanego na śmierć przez wyżej wymienioną organizacyę. I despota, znany ze swych orgij i gwałtów w Moskwie, uniknął tym razem śmierci! Można sobie wyobrazić, wiele ofiar poniesiono, wiele niebezpieczeństw groziło tym ludziom, którzy podjęli się tak niebezpiecznego kroku. I ponieśli w końcu we dwoje sami największą ofiarę: bo życiem swem przypieczętowali swe przekonania. Trepow miał nazajutrz przejeżdżać koło hotelu i niezawodnie byłby to ostatni dzień jego życia.

Wybuch wstrząsnął tak potężnie budynkiem, że wyleciały wszystkie szyby z okien, a ściany zarysowały się nawet w sąsiednich kamienicach.

Nasza rycina przedstawia fotografię hotelu Bristol, zdjętą nazajutrz po wybuchu.



Ustąpienie dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej: Dr. Karol Estreicher-Rozbierski.

Ustąpienie dyrektora biblioteki Jagiellońskiej.

Biblioteka jagiellońska w Krakowie, to najpierwsza i najstarsza strażnica umysłowych skarbów Polski. W tych starych, pleśnią pokrytych murach, w tych mrocznych średniowiecznych salach, mieści się śmiało rzec można cały niemal kulturalny dorobek Polski.

Utrzymanie w należytym stanie tych skarbów, uporządkowanie i pomnażanie takowych — to prawdziwie tytaniczna praca.

Żmudnej tej, acz wdzięcznej pracy podjął się Estreicher i od pół wieku z góry z chlubą i pożytkiem sprawuje zaszczytny ten urząd. Dziś ustępuje czcigodny starzec ze swego posterunku, a na dzieło swoje z dumą spoglądać może.

Estreicher urodził się w Krakowie w r. 1827, tu ukończył szkoły średnie i uniwersytet, uczęszczał kolejno na wydział filozoficzny i prawniczy i na tymże uniwersytecie uzyskał podwójny doktorat. Początkowo poświęcił się zawodowi prawniczemu i wstąpił w Krakowie do służby sądowej, a potem w podobnym charakterze przeniósł się do Lwowa. W r. 1862 zamianowany został notaryuszem w Wojniczu. Posady tej już nie objął, lecz za namową i wpływem Aleksandra Wielopolskiego objął stanowisko bibliotekarza przy tworzącej się wtedy w Warszawie szkole głównej. Po przekształceniu jej na rosyjski uniwersytet, opuścił Estreicher Warszawę i przyjął posadę dyrektora biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. W roku 1868 rozpoczął tu wydawnictwo „Bibliografii polskiej“ — dzieła, którem zdobył sobie niespożytą, trwałą zasługę. Z dziedziny teatro-znawstwa należy wspomnieć o wyczerpującym pięknym dwutomowym traktacie pod tytułem: „Teatry w Polsce“.

Dziś starzec blisko 80-letni, ustępuje w pełni chwały i uznania z pracowitego posterunku swego. Czczony przez społeczeństwo, wyróżniany wysokiemi odznaczeniami przez panującego, usuwa się Estreicher w zacisze domowe, by resztę zacnego żywota spędzić w gronie rodziny i najbliższych przyjaciół.

Ślub słynnego wynalazcy Marconiego.

M. Wilhelm Marconi, ożenił się przed dwoma tygodniami w Londynie, z bogatą córką jednego z lordów angielskich, Beatryczą O'Brien.

Zwykły wypadek, zdarzający się każdemu przeciętnemu śmiertelnikowi – w tym razie jednak nie był „zwykłym wypadkiem“, ale wspaniałą uroczystością, o której wiedział świat cały i o której pisały wszystkie pisma. Ślub odbył się w stolicy Anglii, w Londynie, a brał w nim udział nietylko świat naukowy Londynu, nietylko arystokracya, z której pochodzi małżonka Marconiego, ale i niezliczone tłumy, dla których imię słynnego wynalazcy i uczonego nie było obcem.

Młody, bo zaledwie 30 lat liczący wynalazca, czuł, że ten udział tłumny publiczności w jego ślubie – to objaw uznania i szacunku, jaki wszyscy mają dla tego, który technikę porozumiewania się ludzi z sobą posunął tak daleko, że obecnie z najodleglejszych krańców świata, z za mórz i gór niebosiężnych, można telegraficznie przesyłać wiadomości bez żadnego kłopotu i to w bardzo krótkim czasie. A wiemy dobrze, że każdy środek, umożliwiający jak najszybszą komunikacyę ludzi z sobą, ułatwiający porozumiewanie się wzajemne narodów, jest w dzisiejszych warunkach jednem z szeregu ogniw, wiążących ich z sobą i koniecznych dla podniesienia i wyrównywania się ich stanu kulturalnego.



Wybuch bomby w Petersburgu: Hotel „Bristol“ nazajutrz po wybuchu bomby.



Slub słynnego wynalazcy Marconiego: Beatrycza O'Brien, żona Marconiego.

M. Marconi urodził się w r. 1875, z ojca Włocha a matki Irlandki. Kształcił się w Anglii i mając lat dwadzieścia, dał się poznać szerszemu ogółowi swymi pracami naukowemi. Pierwszą jego większą pracą było przeprowadzenie połączenia telegraficznego bez drutu, przez kanał La Manche, między Boulogne a Dovres. Od tego czasu jego system zyskiwał z każdym niemal dniem coraz więcej zwolenników. Panna Beatrycze O'Brien pochodzi ze starożytnego bardzo rodu angielskiego i jest spokrewnioną z najstarszą arystokracyą angielską.

W numerze dzisiejszym podajemy fotografie młodej pary.

Nieudałe załatwienie przesilenia na Węgrzech.

Zdawało się, że przesilenie węgierskie dobiega już końca. Cesarz udał się do Budapesztu w ostatnim tygodniu specyalnie po to, by tam raz jeszcze odbyć konferencye z wybitniejszymi politykami i przywódcami partyj. Nie mogąc zdecydować się na rozwiązanie takie, jakie proponował hr. Juliusz Andrassy, powołał do siebie hr. Szegyenyi—Maricha, ambasadora austro-węgierskiego w Berlinie, z którym jako z dobrym znawcą stosunków węgierskich i międzynarodowych konferował przez dwa dni. Spodziewano się, że jemu powierzy cesarz misyę utworzenia nowego gabinetu. Tej misyi jednak Szegyenyi-Marich nie otrzymał.

Porozumienie między opozycyą a cesarzem, zdawało się, że zostanie osiągnięte po długich naradach z ministrem skarbu Lukacsem, na następujących warunkach: Cesarz zgodził się na odroczenie na przeciąg dwu lat wojskowego programu zbrojeń—a w zamian za to, Węgrzy mieli się zrzec swych żądań, dotyczących węgierskiego języka komendy w armii.

Autorem tej ugody był minister skarbu Lukacs.

Wszyscy z napięciem oczekiwali na odpowiedź opozycyi, której część z Kossuthem na czele zdawała się skłaniać do ustępstw. Jednak się pomylono. Pełne zebranie wszystkich członków opozycyi ogłosiło raz jeszcze, że opozycya obstaje przy swych dawnych warunkach i że na takie nie załatwienie ale, obejście jej żądań się nie godzi.

W ten sposób prysła ostatnia nadzieja korony kompromisowego załatwienia przesilenia — i przesilenie weszło w stadyum jeszcze ostrzejszego zaognienia.

Odznaczenie profesora Uniwersytetu czerniowieckiego.

Praca społeczna na kresach, podtrzymywanie ducha narodowego, wspieranie radą i czynem rodaków — to pierwsze, święte, obywatelskie obowiązki ludzi, rzuconych losem w dalekie strony kraju, a stojących na wybitnych stanowiskach. Obowiązkom tym godnie i zaszczytnie odpowiedział w ciągu całej swej bytności w Czerniowcach — profesor tamtejszego uniwersytetu dr. Alfred Halban.



Odznaczenie profesora uniwersyt. czerniowieckiego: Prof. dr. Alfred Halban.

Rodem Krakowiak, pochodzi dr. A. Halban z zasłużonej, zacnej rodziny, która niejednego wybitnego męża społeczeństwu wydała. Zasługi osobiste czerniowieckiego profesora, streszczają się głównie w dobroczynnej dbałości i miłości o uczącą się młodzież. W r. 1900, podczas uroczystego obchodu 25-cio letniego jubileuszu czerniowieckiej wszechnicy, rzucił on piękną myśl założęnia „Domu akademickiego", sam stanął na czele komitetu i przeprowadził, pomimo licznych trudności ten projekt do skutku.

Prof. Halban pierwszy też został zamianowany zastępcą przewodniczącego instytucyi przez siebie stworzonej, której każdorazowym prezesem jest prezydent kraju: obecnie dr. Bleybleben. W dowód uznania za owocną i ofiarną pracę — został rodak nasz, dr. Alfred Halban, odznaczony w tych dniach przez cesarza orderem żelanej korony III klasy. Liczne telegramy gratulacyjne i delegacye umyślne, złożyły w tym dniu hołd i życzenia swoje zasłużonemu obywatelowi.

Dr. Alfred Halban, urodził się w r. 1865 wKrakowie, w r. 1887 promowany został na Uniwersytecie Jagielońskim. Następnie służył kolejno w skarbowości i administracyi państwowej. W r. 1894 zamianowany został nadzwyczajnym profesorem prawa niemieckiego, na czerniowieckim uniwersytecie, a w r. 1898 obrany dziekanem tegoż uniwersytetu. Od r. 1904 jest dr. Halban posłem sejmowym z grupy większej posiadłości.

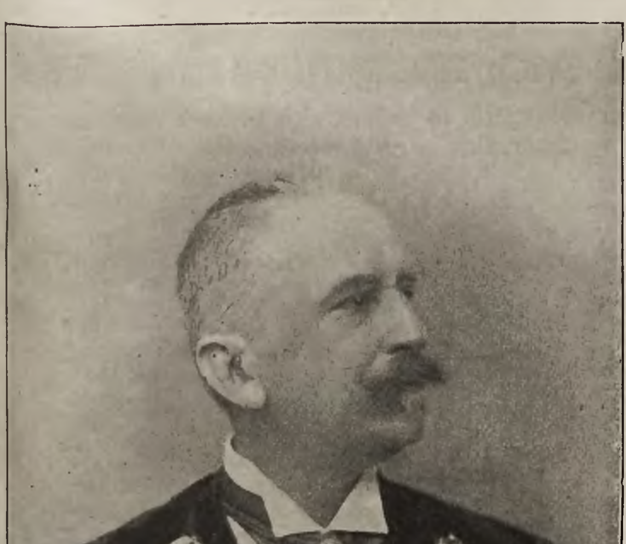


Ślub słynnego wynalazcy M. Marconiego: M. Marconi, wynalazca telegrafu bez drutu.

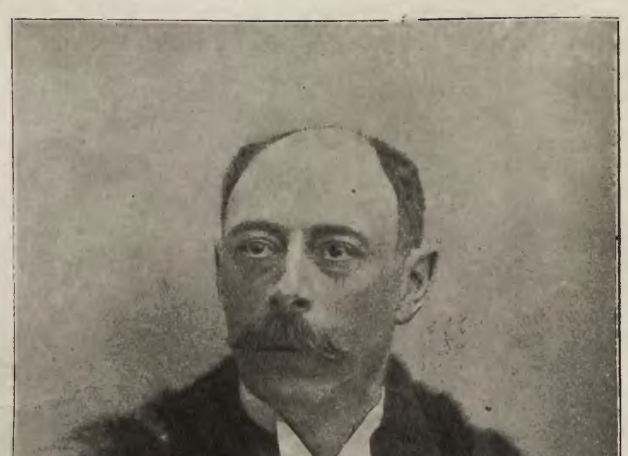
Prof. dr. Halban jest w najpiękniejszych latach męskich, w sile wieku i twórczości — i prawdopodobnie długo jeszcze będzie chlubą uniwersytetu czerniowieckiego i dumą społeczeństwa polskiego, na odległej placówce bukowińskiej.

Podróż cesarza Wilhelma do Marokka.

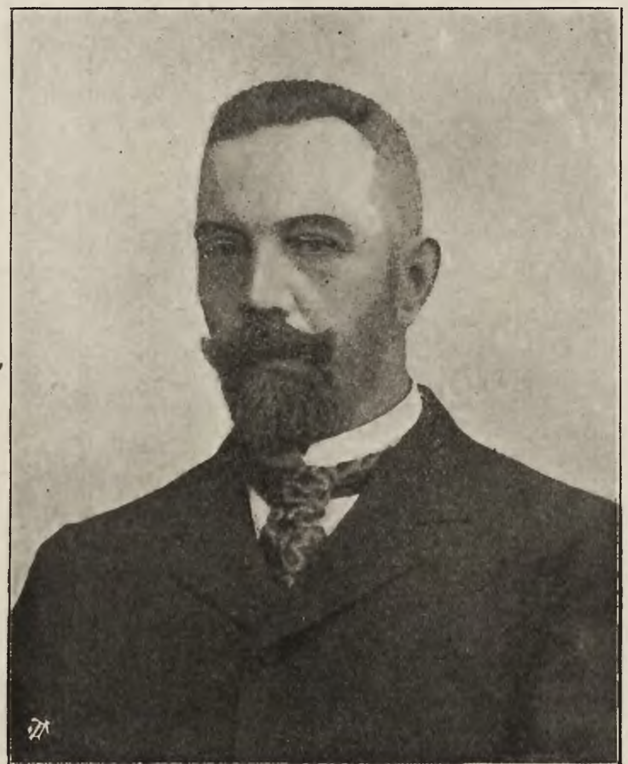
Cesarzowi Wilhelmowi było za nudno w domu! Nikt o nim od dłuższego czasu nie mówił, on sam nigdzie nie gadał, postanowił więc przypomnieć się Europie i wybrał się w podróż do Marocca. Podróż ta ma cel czysto polityczny! Od dłuższego czasu prowadziła Francya z sułtanem marokańskim zatarg o zaprowadzenie pewnych reform, zapewniających jakie takie bezpieczeństwo publiczne i ochronę dla obcokrajowców, dla kupców i podróżników. W tym celu wysłano tam kapitana Fournié, który objął dowództwo nad wojskami francuskiemi w Tangerze i który z sułtanem marokańskim prowadził rokowania co do wprowadzenia w życie tych żądań, jakie postawił rząd francuski. Ze słów ministra spraw zewnętrznych Delcassè'go, należy wnosić, że Francyi chodziło tylko o pewne reformy, że działała w porozumieniu z Anglią i że



Koniec przesilenia na Węgrzech: L. v. Szögyenyi-Marich ambasador austro-węgierski w Berlinie.



Koniec przesilenia węgierskiego: Dr. L. Lukács węgierski minister skarbu.



Zmiany w pruskiem ministerstwie spraw wewn.: Obecny minister Teobald br. Bethmann-Hollweg.

cała jej polityka w Marokku, zmierzała do pozostawienia wolnych wrót dla handlu europejskiego, a wcale nie myślała o jakichś zdobyczach dla siebie.

Niemcy jednak, a raczej Wilhelm dopatrzył się w tej polityce Francyi, celów czysto osobistych i by zademonstrować przeciw polityce francuskiej w Marokko, zapowiedział podróż do Tangeru, stolicy sułtana. Na przyjazd cesarza Niemiec, poczyniono w Tangerze wspaniałe przygotowania, gdyż i sułtan marokański uważa wizytę Wilhelma za akt czysto polityczny.

Prasa francuska i niemiecka, alarmowały już na trwogę, że z powodu tej wizyty demonstracyjnej Wilhelma, może dojść do poważnego konfliktu między Francyą a Niemcami. Zdaje się jednak, że alarm był przedwczesny i zbyteczny, gdyż za domagającą się od sułtana reform Francyą, stoi jej sojuszniczka Anglia, wobec czego rząd niemiecki, pretendujący może i do Marokka, musi poprzestać tylko na demonstracyjnej przejażdżce Wilhelma.

Rycina nasza przedstawia odjazd cesarza Wilhelma do Tangeru z portu Cuxhaven, na pokładzie okrętu „Hamburg“. Druga rycina przedstawia podobiznę kapitana Fournié, komendanta wojsk francuskich w Tangerze.

Zmiany w pruskiem ministerstwie spraw wewnętrznych.

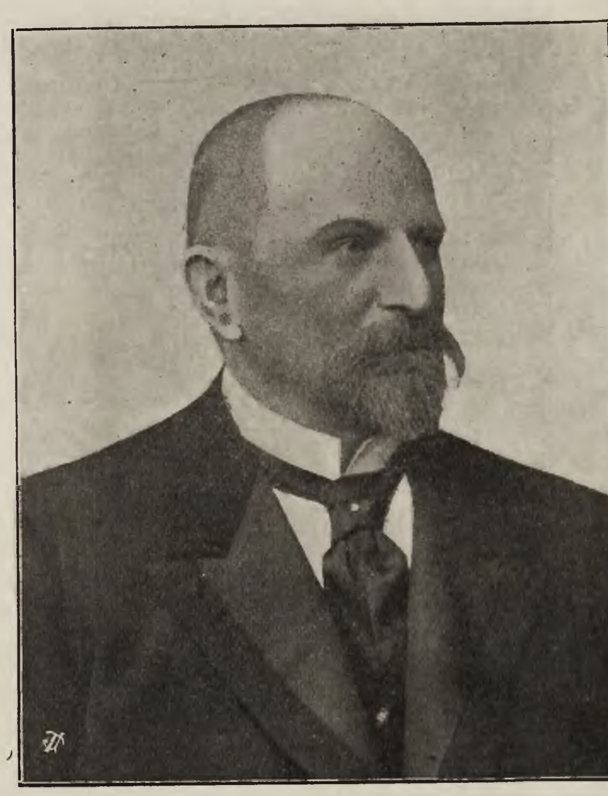
Jeden z najzaciętszych wrogów polskości, łotr, który równego sobie miał chyba tylko w jednym Bismarku, minister spraw wewnętrznych bar. Hammerstein — umarł w tych dniach w Berlinie. „Sąd o umarłych nie należy do ludzi“, jest to utarty komunał, mający nawet po części racyę i źródło swe w chrześcijańskiej miłości bliźniego. Nie do wszystkich jednak zmarłych da się ta zasada zastosować. Ludzie, stojący na wybitnych stanowiskach społecznych, odpowiedzialni i odpowiadający za czyny swe przed społeczeństwem — podlegają podwójnemu sądowi: boskiemu, którego wyroki niezbadane i sądowi historyi. Smutno jednak będzie wyglądała postać zmarłego ministra przed sprawiedliwym sądem historyi.

Wstecznik najgorszego typu, wróg wszystkiego, co postępowe i wolnomyślne, był Hammerstein w pierwszym rzędzie nieprzejednanym wrogiem wszystkiego, co polskie. Jemu zawdzięczamy w Poznańskiem wyjątkowe rozporządzenia, wymierzone przeciw Polakom, a łamiące zasadnicze podstawy konstytucyjne, między innymi szatański projekt parcelacyi gruntów, uniemożliwiający chłopu polskiemu nabywanie ziemi. Jego zasługą jest wycofanie języka polskiego z życia publicznego, prześladowanie zgromadzeń, stowarzyszeń i polskiego teatru w Poznaniu.

Karyera jego urzędnicza nie przedstawia nic ciekawego, a i śmierć niesympatycznego tego indywiduum nie wzbudziła żalu nawet w kołach rządowych i jego przyjaciół politycznych.

Następca jego, Teobald Bethman-Hollweg — osobisty przyjaciel Wilhelma, jest mniej więcej człowiekiem tego samego typu, co zmarły Hammerstein.

Ród swój wywodzi nowy minister z Niderlandów, skąd rodzina jego w XVII wieku wywędrowała przed religijnemi prześladowaniami do Nie-



Zmiany w pruskiem ministerstwie spraw wewn.: Zmarły minister br. Hammerstein.

miec. Z biegiem wieków dorobili się ci emigranci wielkiej fortuny i założyli dom bankowy, który pośredniczył w wielkich operacyach finansowych i pożyczkach dla Austryi, Danii i Rosyi.

Na tej też zasadzie uzyskała rodzina Bethmanów-Hollwegów od cesarza niemieckiego dziedziczny tytuł baronów.

Po utracie majątku i znaczenia, poświęcili się Bethmanowie karyerze urzędniczej. Jeden z ich potomków był nawet w r. 1862 ministrem. Rodzonym jego wnukiem jest Theobald, świeżo do kierowania ministeryum spraw wewnętrznych powołany. Theobald Bethman-Hollweg liczy lat 50, studya prawnicze odbywał w Niemczech, a w r. 1879 wstąpił w służbę rządową, przebywając szybko wszystkie szczeble karyery, która udekoronowaną została obecną nominacyą.

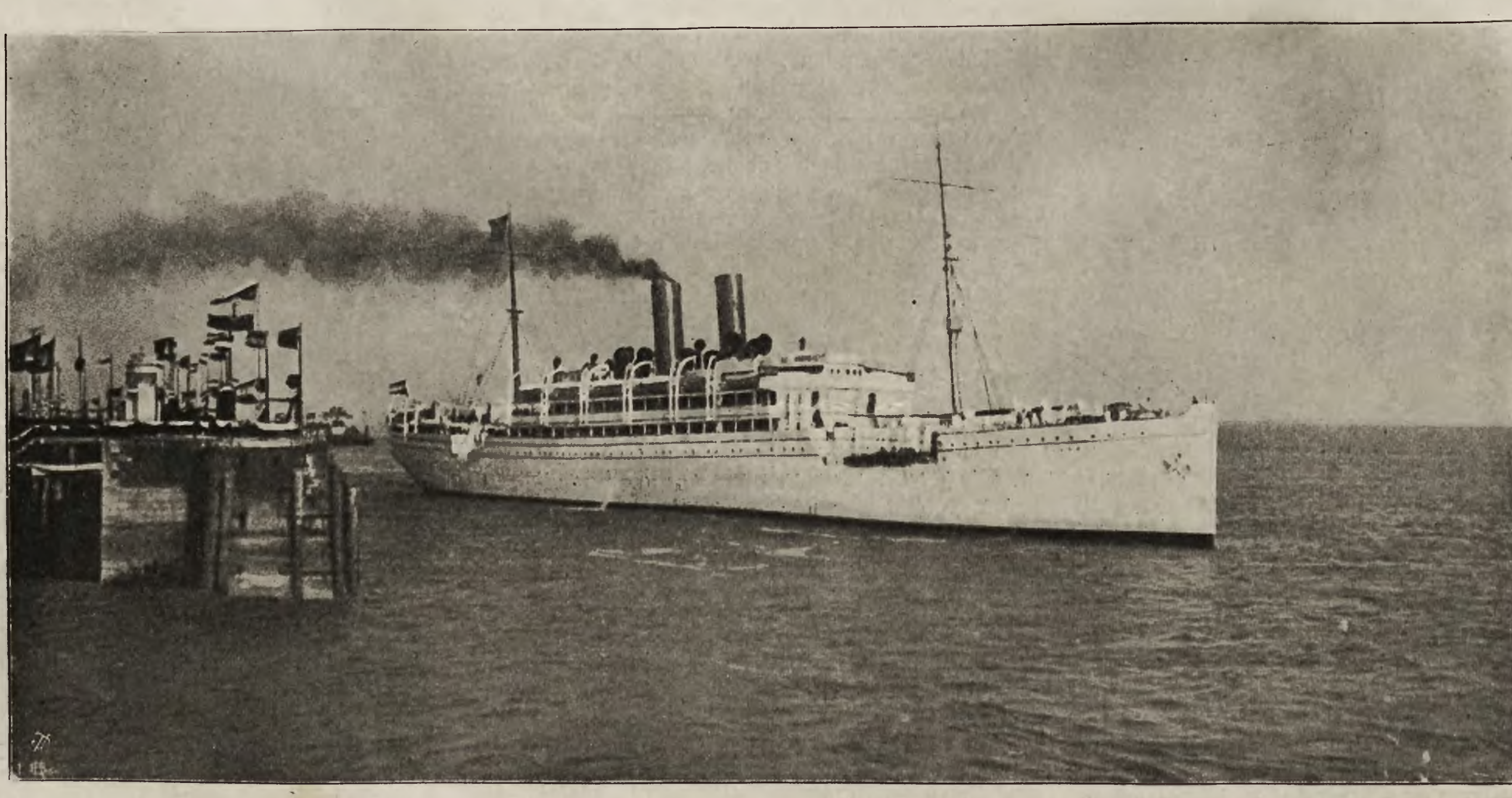
My Polacy nie możemy niczego dobrego spodziewać się po nowym dostojniku, ale też zarazem i niczego tak dalece złego się obawiać. Smutna ta pewność oparta jest nie na jakichś lepszych nadziejach, związanych z osobą nowego ministra, ile raczej w przeświadczeniu, że cały arsenał rasowej nienawiści i prześladowań względem nas — poprzednik jego wyczerpał. Dla Bethmana nic, lub nie wiele już pozostało.

Śpiewak wynalazcą przyrządu chirurgicznego.

Chirurgia, to jedna z najstarszych dziedzin wiedzy lekarskiej, a często przypadek tylko był bodź-



Podróż cesarza Wilhelma do Marokko: Kapitan Fournié komendant wojsk francuskich w Tangerze.



Podróż cesarza Wilhelma do Marokko: Odjazd Wilhelma z portu Cuxhaven na pokładzie „Hamburga“.

‹em i przyczyną do dalszych dochodzeń i badań w tym kierunku. Co więcej! nawet laicy w sztuce leczenia przychodzili nieraz do zdumiewających odkryć, które potem fachowe siły lekarskie przyswoiły sobie dla dobra cierpiącej ludzkości.

Podobny, zdumiewający wypadek zdarzył się — okrągło 75 lat temu — wypadek, który dziś błogosławią cierpiący — na gardło. Brzmi to, jak opowiadanie z tysiąca i jednej nocy, a jednak jest faktem niezbitym.

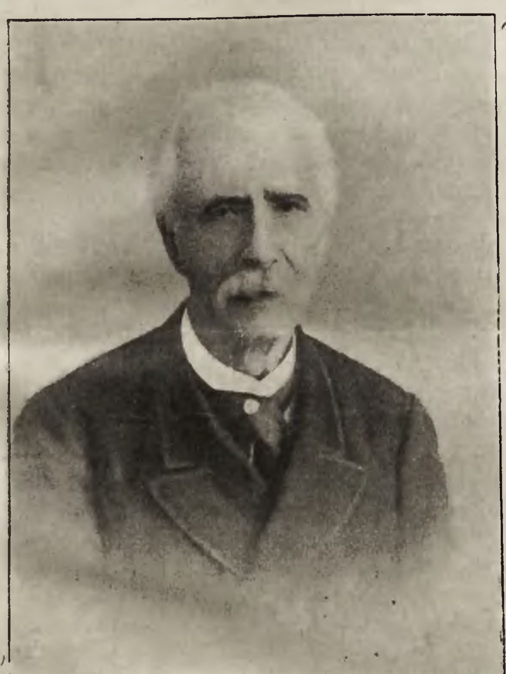
Był przed 100 laty (nawiasowo powiedziawszy, żyjący dotychczas) śpiewak, któremu w karyerze artystycznej stanęło na przeszkodzie chroniczne cierpienie gardlane i to tak dalece, że Manuel Garcia — bo to jest jego nazwisko — widział się zniewolonym do porzucenia zawodu scenicznego śpiewaka, a jako wykształcony teoretyk jął się udzielania lekcyj śpiewu.

Równocześnie badał jednak błędy swojej krtani i w tych badaniach przyszła mu szczęśliwa myśl do głowy: za pomocą lustra zbadanie ustroju przełyku. O wynikach nad temi badaniami zawiadomił fachowe siły lekarskie, które jednak nad „wynalazkiem“ laika przeszły na razie do porządku dziennego. Dopiero, gdy na ponowione prośby śpiewaka — zajęli się odkryciem jego specyaliści tej miary, co prof. Czarmek i Thürk — skonstruowano nareszcie, dziś w powszechnem użyciu będący, „laryngoskop“.

Jest to przyrząd, składający się z lusterka metalowego (platyna), czysto wypolerowanego, który pacyentowi wkłada się do gardła, a który przy pomocy reflektora umożliwia lekarzowi zbadanie



Tania 10-centowa kuchnia we Lwowie: Wnętrze jadalnej sali. Fot. „Iskra“. Lwów.



Śpiewak wynalazcą przyrządu chirurgicznego: Em. Garcia, 100-letni starzec, nauczyciel śpiewu w Londynie.

krtani cierpiącego. Zasługę wynalazku uzurpowali sobie lekarze — prawdziwym jednak i właściwym wynalazcą wiekopomnego dzieła jest i pozostanie, skromny niegdyś śpiewak, dziś jubilat, obchodzący setną rocznicę urodzin w Londynie, Włoch z urodzenia — Emanuel Garcia.

Tania 10-centowa kuchnia ludowa we Lwowie.

„Chleba naszego powszedniego daj nam Panie!“ — to słowa codziennej modlitwy. Jakżeż jednak wielu jest ludzi, którzy i u Boga i u bliźnich daremnie żebrzą o ten dar Boży! Znachodzą się jednak jednostki dobroczynne i rozumiejące całą grozę położenia tych, którzy pozbawieni są tego najpotrzebniejszego daru nieba. Społeczeństwo i owe dobroczynne jednostki, w dobrze zrozumianym własnym interesie, stworzyły rozmaite fundacye, które za dewizę postawiły sobie wzniosłe chrześcijańskie hasło: „głodnego nakarmić“.

I galicyjska nasza metropolia — Lwów, usiłuje w miarę swoich środków zaspokoić tę potrzebę biednej, głodnej ludności.

Pod przewodnictwem znanych filantropek, pp.: hr. Dzieduszyckiej i Kazimierzowej Laskowskiej, powstała w Lwim grodzie filantropijna instytucya, dostarczająca tanich obiadów biedakom miasta. Za minimalną cenę, bo wynoszącą tylko 10 centów, dostarcza tania kuchnia zdrowych, pożywnych i obfitych obiadów najuboższym sferom. Ciche i pobożne Siostry z zakładu św. Teresy pełnią posługi dla biednych. Z kongregacyi całej odznacza się zwłaszcza słodyczą i poświęceniem czcigodna siostra Aniela.

Dom dla ubogich miasta Lwowa.

Każde większe miasto posiada całe zastępy bezdomnego proletaryatu, żyjącego z codziennej jałmużny lub doraźnej dobroczynności publicznej. Kadry „ubogiej gminy“ — jak je urzędownie zowią — stanowią chorzy, kalecy, starcy niezdolni do pracy, chorzy umysłowo i małoletni, a wśród tych wszystkich olbrzymi procent wykolejeńców, mających wstręt do pracy, więc indywiduów zbrodniczych i spekulantów na cudzą litość i kieszeń.

Wszystkich tych nieszczęśliwych i upadłych jedną miarą mierzyć nie można. Wielu z nich należy murom kryminału, domom poprawy i przymusowej pracy — większość jednak stanowią prawdziwie nieszczęśliwi, pozbawieni wszelkich środków i możności życia.

Tą ostatnią kategoryą wzniosła a rozumna filantropia zająć się powinna. W trafnem zrozumieniu tego świętego społecznego obowiązku ulżenia cierpieniu i nieszczęściu biednych — zakładane bywają dobroczynne instytucye, o byt których troska przypada społeczeństwu. Mamy też w każdem niemal mieście zakłady takie, jak bezpłatne szpitale, tanie jadłodajnie i przytułki dla kalek i chorych. I Lwów nie pozostał w tyle tych szlachetnych dążności i posiada wiele filantropijnych instytucyj tego rodzaju. Jednym z takich zakładów jest „Dom ubogich miasta Lwowa“, którego rycinę w numerze niniejszym załączamy. Olbrzymi ten budynek zajmuje róg ul. Kopernika i prawie całą długość ul. Wronowskiej. Gmach ten stary, o omszałych murach — daje pomieszczenie kilkuset starcom. Otrzymują oni prócz mieszkania i wiktu, opiekę lekarską bezpłatnie. Każdy z nich ma przydzieloną jakąś lekką, zastosowaną do swoich zdolności, sił i wieku pracę, którą odwdzięcza się niejako dobroczynnej instytucyi. Produkty bowiem ich pracy są sprzedawane do sklepów, a głównymi przedmiotami zbytu są pudełka, koszyki i t. p. Pensyonaryusze robią niezmiernie dodatnie wrażenie.



Dom dla ubogich miasta Lwowa: Widok zewnętrzny gmachu przy ul. Kopernika i Wronowskiej. Fot. „Iskra“. Lwów.



Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył A. S.

5 (Ciąg dalszy).

Wśród morderców.

Wśród niezmierzonych borów, wśród głuchej dziczy leśnej, stała wielka, piętrowa sadyba, sklecona z potężnych, nieobrobionych bierwion. To była leśna gospoda Wasyla Lubasza, kryjówka, w której znikał rudawy Iwan, ilekroć leśnicy zaczęli poszukiwać za kłusownikami.

Ongiś przez te dzikie bory prowadził gościniec, na którym roiło się od kupców i podróżnych. Gospoda Lubasza wrzała wtedy życiem. Ale powoli kupcy i podróżni znaleźli sobie inne drogi. Gościniec porósł trawą, a gospoda zapadła się w ziemię...

I w takiem pustkowiu musiała pędzić życie młoda Wiera, przy boku ojca i co dzień stykać się ze znienawidzonym przez się Iwanem.

Trzy dni zaledwie minęło od chwili, w której przybyła do gospody, a już zdawało się biednemu dziewczęciu, że lata tu siedzi!...

A w dodatku co chwila przypominała sobie, że ojciec chce, aby swą rękę oddała Iwanowi.

-- Śmierć raczej, niż takie małżeństwo! -- myślała Wiera, ale na razie nie zamierzała sobie odbierać życia. Postanowiła czekać spokojnie, czy ojciec nie da się jeszcze ubłagać... Gdyby jednak chciał stary Wasyl gwałtem ją oddać Iwanowi, wówczas — — — — — — — — — — — —

Myśl, skąd ojciec wziął nagle tyle pieniędzy, nie dawała jej spokoju. Wiera w opowiadanie starego o niespodziewanym spadku nie wierzyła zupełnie. Inne, straszne podejrzenie zrodziło się w jej młodej główce. Bała się, czy Iwan nie skłonił starego Lubasza do jakiejś zbrodni, której owocem był ten majątek!

Stary Lubasz w Petersburgu zakupił masę żywności, wina i wódki, więc Iwan nie chodził teraz za zwierzyną do lasu, lecz od rana do nocy siedział w izbie szynkownej i zapijał się na śmierć ze starym.

Obaj wpadali wówczas w jakiś dziwny stan wściekłości i wyprawiali takie piekielne hałasy, że gospoda trzęsła się w posadach, a Wiera drżała ze strachu i chowała się w najciemniejszy kąt swej izdebki, znajdującej się na pierwszem piętrze.

Nocami szalała wichura, dziko poświstując i zawodząc jakieś tajemne skargi — jakieś płacze i jęki...

Po petersburskich czasach, takie życie otwarło się przed biedną Wierą.

Jednej nocy zbudził ją ze snu straszny hałas w szynkowej izbie. Szybko zarzuciła sukienkę i kożuszek, przywdziała grube sukienne buty i cicho zbiegła na dół, poczem podszedłszy na palcach pod drzwi izby, zaglądnęła do niej przez szparę.

Dreszcz przebiegł jej ciało. Stary Lubasz stał z załamanemi rękami na środku izby i patrzał ponuro w ziemię, a Iwan wskazywał dłonią w podłogę, pod którą kryła się piwnica i ze zbrodniczym uśmiechem szeptał mu coś do ucha.

Po chwili Iwan ruszył ku drzwiom, a Wiera przestraszona uciekła czemprędzej do swego pokoiku i zaryglowała się jak zwykle.

Żyła w wiecznej obawie. Po tem, co widziała, utrwaliło się w niej przekonanie, że ojciec wraz z Iwanem dopuścili się jakiejś zbrodni. Ale jakiej? Wiera bądź co bądź postanowiła przeniknąć tę tajemnicę.

Iwan wskazywał dłonią staremu Lubaszowi na piwnicę. Nazajutrz Wiera, widząc, że ani Lubasz, ani Iwan nie zwracają na nią uwagi, uzbroiła się w latarnię i chyłkiem zakradła do piwnicy.

Piwnica, jak i cała gospoda, dzieliła się na kilka izb murowanych z prostego, nieciosanego kamienia. Młoda dziewczyna zaglądnęła do jednego przedziału, ale prócz kości i skór ze zwierzyny upolowanej przez Iwana, nie było tam niczego innego. W drugim przedziale złożone były narzędzia gospodarskie. Światło latarki padło na dużą osobno w kącie porzuconą siekierę.

Wiera spoglądnęła w tę stronę i zadrżała z przerażenia.

Ostrze siekiery pokryte było plamami — dziwnemi plamami! Nie była to rdza! O, nie! Plamy te przypominały krew...

Wiera przysłoniła oczy dłonią. Więc naprawdę jej ojciec jest zbrodniarzem? Więc dopuścił się nie kradzieży, lecz mordu i rabunku?!...

Młode dziewczę chwiejnym krokiem wyszło na mały korytarzyk i skierowało się ku trzeciemu przedziałowi. Ten był zaś knięty ciężkiemi, dębowemi drzwiami. Wiera pchnęła drzwi, ale nie zdołała ich otworzyć, bo były zamknięte na klucz. Teraz dopiero przypomniała sobie, że gościnna izba ponad tą częścią piwnicy jest także zamknięta...

— Tu więc kryje się tajemnica! — pomyślała sobie, ale równocześnie zaśmiała się głośno. — Tajemnica? Dlaczegóż tajemnica? Tu pewno ojciec ma skład wódki i zamyka go dobrze przed Iwanem! A te krwawe plamy na siekierze? Czyż to musi być krew ludzka? Czy Iwan lub ojciec nie mogli ćwiartować zwierzyny tą siekierą?!... Czemuż to roją się jej jakieś bezsensowne podejrzenia, nie poparte żadnym dowodem?...

I Wiera, wziąwszy latarkę do ręki, już chciała opuścić piwnicę, gdy chrapliwy krzyk grozy i oburzenia rozległ się za jej plecami. Dziewczę obróciło się szybko i ujrzało przy blasku latarki bladą z przerażenia twarz ojca.

— Co ty tu robisz dziewczyno? Za czem ty szukasz tutaj?!... — syczał stary Lubasz, wpatrując się groźnie w córkę.

— Szukałam, czy nie ma tu jakiego starego wiaderka! — odparła Wiera ze skromną minką.

— Ruszaj-że mi stąd zaraz precz! — huknął z gniewem Wasyl — ruszaj stąd i pamiętaj, żebym cię już nie spotkał tu więcej, bo inaczej kijem ci kości policzę!...

Wiera pierwszy raz widziała ojca tak rozgniewanego. Pierwszy raz stary Lubasz odzywał się w ten sposób do córki, nic więc dziwnego, że podejrzenia znów z całą siłą odżyły w duszy dziewczęcia.

— Tak! — pomyślała Wiera — tak! nie mylę się! Ta piwnica kryje jakąś straszną tajemnicę, ale ja muszę ją zbadać!

I na rozkaz ojca udała się do swego pokoiku. Ale około północy, gdy już i Lubasz i Iwan, popiwszy się, usnęli jak zabici, Wiera ubrała się znowu, cichaczem weszła do izby szynkowej, zabrała stamtąd pęk kluczy, wiszących nad szynkfasem i weszła znów do piwnicy.

Stanąwszy przed drzwiami zamkniętego przedziału, podniosła latarkę, aby przypatrzeć się zamkowi i uczuła febryczne drżenie. Na futrynie drzwi, tuż koło zamku widać było krwawe plamy, takie same, jak na siekierze...

A plamy te przedstawiały kształt dużej ręki! Wiera zdenerwowana, drżąca cała, zaczęła dobierać kluczy. Trwało to dosyć długo, aż nareszcie jeden klucz całkiem swobodnie wszedł do zamku. Dziewczę obróciło go, dał się słyszeć trzask głuchy i drzwi stanęły otworem...

Chłodne, wilgotne powietrze owiało ją i na chwilę pozbawiło przytomności. Nie trwało to jednak długo i po chwili Wiera była już znów panią swych zmysłów. Bez wahania weszła do wnętrza i rozglądnęła się dokoła. Przedział był jednak pusty! Twardo ubita ziemia podłogi nie zdradzała niczego...

Gdzież tkwiła więc tajemnica?

Z tą myślą Wiera wróciła do swej izdebki całkiem niespostrzeżona, bo Wasyl i Iwan spali snem kamiennym, przekonani, że i Wiera także spoczywa.

Na drugi dzień rano, zanim jeszcze mężczyźni się przebudzili, Wiera poczęła już krzątać się w szynkowni koło śniadania i powiesiła klucze na swojem miejscu.

W nocy znów hałas kłótni zbudził Wierę ze snu. Usłyszała dziki krzyk Iwana i była pewną, że łotr ten chce zamordować jej ojca. Szybko więc zerwała się z łóżka i zbiegła na dół.

Znów zaglądnęła przez szparę i ujrzała, jak Iwan zaciśniętymi kułakami wygrażał staremu Lubaszowi.

— Ja nie chcę, ja nie myślę dłużej czekać! — wołał z wściekłością — ona zaraz musi być moją żoną! Pamiętaj o tem stary, bo jak jestem Iwan Pawłowicz Trepow, tak ty zginiesz na szubienicy!...

Przy słabym blasku latarni, oświetlającej szynkownię, zobaczyła Wiera, że ojciec jej pobladł śmiertelnie.

— Pamiętasz ty stary owego kupca?! — krzyczał Iwan.

Wasyl Lubasz zerwał się z ławy i z pięściami rzucił się na parobka.

— Ty mnie na szubienicę zaprowadzisz?! — zaryczał — ale i ty pójdziesz ze mną! Jedna nam śmierć i jedna nam droga! Jak na hak to obaj, obaj razem Iwanie! Czyś ty już zapomniał, czyja to głowa wszystko obmyśliła, czyja ręka wszystko wykonała?!...

Wiera, słysząc to, omal, że nie padła bez zmysłów na ziemię.

— Daj-no spokój, Wasyl! — odezwał się uspokojony nieco parobczak — co my dwa druhy mamy się kłócić! Znasz nasz układ: pieniądzmi się podzielimy, a Wiera musi być moją żoną! Ma ona muchy w nosie, ma, bo jest panną, ale niech nam pop tylko mołebeń odśpiewa, to już ja jej te muchy wypędzę! Oj, jakem Iwan Pawłowicz Trepow, tak wypędzę!...

— Ej Iwan, czy ty nie widzisz, że ona cię nienawidzi? — mówił stary — co ci po takiej żonie? Ty weź swój dział i idź, a mnie z dzie-

ckiem zostaw w spokoju! Co ci może zależeć na jednej dziewce?...

— O! tak panie Lubasz — zaśmiał się szyderczo parobczak — ano, zaczynamy z innej beczki, jak widzę! Ale ja ci jedno powiadam stary: Ja tu pan i nikomu rządzić, ani przewodzić nad sobą nie pozwolę! Dziewka w tej chwili musi wstać i siąść tu przy nas za stołem... Z popem, czy bez popa, niechże temu już raz będzie koniec!..

I Iwan, kopnąwszy stołek, na którym siedział, ruszył ku drzwiom szynkowni, gdy stary Lubasz uchwycił go za ramię.

— Ty słuchaj! A ty dokąd? — krzyknął — dziewucha śpi teraz, daj-że jej spokój!...

— Musi tu zejść w tej chwili! ja tak chcę, ja tak każę!...

To mówiąc, parobczak pchnął Wasyla z taką siłą, że starzec potoczył się na ławę, a sam skoczył ku drzwiom, szarpnął je i nagle, jak wryty, stanął na progu.

Przed nim, blada jak trup, stała Wiera ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma.

— Dokąd-że to, dokąd, Iwanie?! — spytała go dziwnie zmienionym głosem — siłą mnie chcesz brać? gwałtem? Daremny trud! Śmierć będzie silniejszą od ciebie!...

Iwan przez chwilę zdumiony spozierał na dziewczynę, ale wnet ocknął się i wyrzuciwszy straszliwe przekleństwo, uchwycił ją za ramię i wciągnął do szynkowni.

— Podsłuchiwałaś gołąbko? — zaskrzeczał chrapliwie — to dobrze! Ja, ty i twój stary tworzymy dziś nierozłączną trójcę, związek serdeczny, aż po grób, rozumiesz? Chodź, siadaj za stołem, napij się wina, napij się wódki! Twój stary sławny mołojec, ja też nie gorszy! Chodź, gołąbko, posłuchaj, co ci powiem i bądź moją po dobrej woli, jeśli nie chcesz widzieć starucha ze stryczkiem na szyi!...

Wiera chciała się bronić, ale jakiż opór mogło stawić słabe dziewczę rosłemu, jak tur, parobkowi. Ręce Iwana chwyciły jej ramię, jak żelazne kleszcze. Darmo się szamotała i opierała; parobek pijany i rozwścieczony ciągnął ją do szynkowni.

— Puść ją! puść, ty łotrze! Ty mi ręki na dziecko nie podnoś! — huknął stary Lubasz i pochwyciwszy flaszkę ze stołu, cisnął ją w głowę Iwana.

Parobek schylił się i uszedł ciosu.

— Poczekaj stary! zaraz ja ci zapłacę za to! — krzyknął i puściwszy Wierę, chciał już rzucić się na Wasyla, gdy w tem dało się słyszeć silne pukanie w bramę gospody.

Nastała chwila grobowej ciszy, wśród której słychać było sapanie mężczyzn i bicie serca Wiery.

— Co to jest?!...— szepnął Lubasz, patrząc niespokojnie do koła.

— Gość o tej porze?! — zachrapał Iwan, blady z przerażenia — ty! to zupełnie tak, jak wtedy... wtedy!...

Jedna tylko Wiera ucieszyła się tem pukaniem. Może to ktoś, co ją wyratuje z tego piekła, gdy padnie mu do nóg? Może to zbawca, który obroni ją przed Iwanem.

— Zobacz-że przynajmniej, kto to taki! — odezwał się w końcu Iwan do Lubasza.

A Lubasz drżący, strwożony, wskazał mu ręką na stary zegar, wiszący na ścianie.

— Pół do pierwszej Iwanie! pół do pierwszej! zupełnie jak wtedy...

Tymczasem pukanie nie ustawało. Gość widocznie niecierpliwił się, bo walił pięścią raz po raz w bramę i to coraz silniej.

Wasyl powoli przybliżył się do okna i zdjął worek, którym było przysłonięte. Śnieg przestał padać i księżyc jasno oświecał jasną polankę, na której stała gospoda. Podróżny zauważył widocznie, że obserwują go z okna, bo posunął się ku niemu, a w tej chwili z piersi Wasyla wyrwał się okrzyk dzikiej trwogi.

— Umarły! umarły!...

Iwan jednym skokiem był już przy oknie.

— Oszalałeś, czy co?! — krzyknął z gniewem — jaki umarły? gdzie umarły?...

— Tam... tam... stoi... przed oknem! — szepnął przerażony Lubasz.

Parobek wpił oczy swe w brudną szybę i nóż błysnął w jego ręku.

— Nie wyjdzie on już stąd żywy! — odezwał się chrapliwie — otwórz bramę i wpuść go tu Wasylu!

Lubasz spojrzał nań ze zgrozą.

— My się musimy mylić Iwanie! Umarli z grobu nie wstają! To pewnie jakiś zbłąkany podróżny! Schowaj się do przyległej izby, bo on nie powinien cię tu zastać!...

Iwan włożył nóż za pas i skinął głową.

— Słusznie mówisz Wasylu — rzekł z naciskiem, chowając się do komórki, położonej tuż przy szynkowni — ale pamiętaj! Jak tamtemu i jemu jednaka niech ściele się droga!...

Lubasz nie odrzekł na to ani słowa, tylko ciężko siadł na ławie i odezwał się do córki:

— Wiera! idź, otwórz drzwi gościowi, bo ja... ja nie mogę!...

Dziewczę spełniło rozkaz ojca i w progu szynkowni ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna, z twarzą ocienioną czarnym zarostem, ubrany w kosztowne futro i buty aż poza kolana.

— Pochwalony! — odezwał się gość i spojrzał na Wierę dziwnie przejmującym wzrokiem.

Dziewczę odczuło lekkie drżenie i pospieszyło przymknąć drzwi od izby, a stary Lubasz ze słodką miną zginał się w pas przed nieznajomym.

— Zgubiłem drogę stary! ale to chyba nie dziw zabłąkać się w takiem pustkowiu, gdzie można dniami wędrować, a żywej duszy nie napotkać. Dzięki też Bogu najwyższemu, że przecie choć tu



...a stary Lubasz ze słodką miną zginał się w pas przed znajomym.

znajdę przytułek, bo jak sądzę, pozwolicie mi spocząć do jutra?...

— Jak wasza wola! miłościwy panie! — odrzekł pokornie starzec, wciąż z podełba wpatrując się w podróżnego — ciepłą izbą i czystem łóżkiem możemy wam zawsze służyć.

— Ej, ojcze! — odezwała się nagle Wiera, która siedziała teraz za szynkfasem — pozwólcie, to wskażę panu drogę do najbliższej wioski, do której może dojść za godzinę.

Nowoprzybyły spojrzał w oczy dziewczęcia i uśmiechnął się z lekka.

— Nic z tego panienko! – rzekł powoli – zmęczony taki jestem, że kroku dalej nie zrobiłbym i jeśli tylko można, to chętnie tu zanocuję. Przecież, jeśli się nie mylę, to jest publiczna gospoda.

— Do usług waszej miłości! — potwierdził stary Lubasz.

Podróżny teraz dopiero rozpiął futro, otrząsnął się ze śniegu i siadł za stołem.

— Czy macie tu jeszcze jakich gości? — zapytał.

— Nie, wasza miłość! prócz nas dwojga żywej duszy tu niema!...

— To dajcież mi flaszkę wina...

Wasyl szybko zakrzątnął się, aby spełnić życzenie gościa, który tymczasem bacznie rozglądał się dokoła.

— A przecież mieliście tu jakieś towarzystwo! – odezwał się po chwili przybyły — widać przecie! stół zlany wódką i winem, a i szkła kawałki leżą na podłodze, a i krzyki jakieś, niby kłótnię, słyszałem...

— Mylicie się, wasza miłość – uśmiechnął się słodko Wasyl — to ja się zabawiałem z moją córką Wierą. Gdy wasza miłość zapukał do bramy, zerwałem się szybko, żeby otworzyć i zrzuciłem flaszkę! Pozbierajno Wiera te kawałki!...

Dziewczę pospieszyło spełnić rozkaz ojca, a gość już nie poruszał dalej tej sprawy, tylko w milczeniu gładził swą bujną czarną brodę i przypatrywał się każdemu ruchowi dziewczyny. Tymczasem stary Lubasz postawił na stole szklankę i flaszkę.

— Napijecie się ze mną stary?

— Jak wasza miłość pozwoli...

— A może i córka przysiądzie się do nas? W kompanii będzie nam pewnie weselej.

— Dajcie jej spokój wasza miłość! Dzikie to i ludzi boi się, jak pies wody! Niech tam sobie lepiej siedzi cicho za szynkfasem!

Przez chwilę trwała cisza i tylko świst hulającej po borze wichury zalatywał do izby. Nagle przybyły spojrzał prosto w źrenice gospodarza.

— Nie boicie wy się mieszkać tak sami na tem pustkowiu?

— A czego wasza miłość — odezwał się Lubasz, wzruszając ramionami — człowiek raz się już przyzwyczaił od młodu, a potem, jako goły, nie boi się rozboju.

— Hm! to pewnie! — rzekł powoli podróżny — ale przyznam się wam, że ta wasza gospoda na tem odludziu nie wygląda wcale zachwycająco. Mimowoli przychodzi człowiekowi na myśl, że podróżny mógłby tu zginąć bez śladu!...

Lubasz drgnął i spuścił wzrok ku ziemi.

— Jak to wasza miłość rozumie? — zapytał ponurym głosem.

— Całkiem poprostu! — odparł z naciskiem nieznajomy, na takiem pustkowiu o zbrodnię nie trudno. Wy naturalnie nie wiecie o tem, co dzieje się w świecie, bo inaczej wiedzielibyście, że niedawno, ze dwa miesiące temu, znikł gdzieś bez śladu w tej okolicy jeden z najbogatszych kupców petersburskich!..

— W na... w na-szej o-ko-li-cy?... — wyjąknął Wasyl.

Wiera, która dotychczas obojętnie przysłuchiwała się rozmowie, teraz podniosła się i nadstawiła pilnie ucha.

— Tak, w tej okolicy! — ciągnął dalej podróżny, obserwując dobrze każdy ruch, każdy skurcz twarzy starego — przynajmniej tak twierdzi tajna policyja! No, a co do mnie, to specyalnie zależy mi na tem, aby odkryć miejsce, gdzie popełniono morderstwo...

— Morderstwo? Dlaczego morderstwo? — obruszył się niespokojnie Lubasz. — Przecież równie dobrze mógł tego kupca spotkać jakiś nieszczęśliwy przypadek...

— To jest wykluczone, mój stary! Borys Jaroszyn miał przy sobie sześćdziesiąt tysięcy rubli i te pieniądze skusiły jego morderców!... (c. d. n.)

Zgon znakomitego romansopisarza-podróżnika.

Fantazya i bujny polot poetycki, są to prawdziwie rzadkie właściwości talentu — spotykane nie zawsze nawet u zawodowych poetów, tem rzadziej jeszcze — u powieściopisarzy. Tylko dwóch znakomitych, europejskich pisarzy, pochlubić się może temi cennemi zaletami pióra. Andersen — słynny bajkopisarz duński i zmarły obecnie romansopisarz-podróżnik Juliusz Verne. Żaden z autorów wszechświatowej sławy, do jakich w pierwszym rzędzie Verne należy — nie doszedł za życia do tak niebywałej popularności, jak on właśnie. Zawdzięcza to Verne przedewszystkiem cudownej wprost swojej fantazyi, wspieranej gruntowną wiedzą i studyami z zakresu nauk przyrodniczych. Główny kontyngens czytelników nieśmiertelnych dzieł Vernego – stanowiła i stanowi po dziś dzień – młodzież, do której wyobraźni umiał tak świetnie przemówić. Dla Vernego nie przedstawiała trudności żadna, najbardziej karkołomna podróż, tem więcej, że odbywał ją w swej wyobraźni przy biurku, gdzie regularnie po kilkanaście godzin spędzał. Raz wprowadza swych czytelników na księżyc, to znowu do wnętrza ziemi — to dla odmiany w podmorskie głębiny Oceanu, nie licząc tysiącznych przygód u bieguna północnego i w głębi ciemnej Afryki.

Co szczególniejsze w twórczości znakomitego romansopisarza, że sam osobiście nigdy nie wydalał się za granicę swej ojczyzny Francyi. Powtóre, że w najwięcej fantastycznych swych wizyach, przeczuwał zawsze, jakby jakimś wieszczym duchem, przyszłe odkrycia i udoskonalenia w dziedzinie wynalazków i lokomocyi. Na dowód tego, wystarcza przytoczyć jego powieści fantastyczne: „Pięć tygodni w balonie", lub „Tajemnicza wyspa". W pracach tych opisał, między innemi, bardzo szczegółowo i dokładnie łódź podwodną i najnowszy typ balonów, o których w owych czasach



Zgon znakomitego romansopisarza-podróżnika:
Zmarły w zeszłym tygodniu w Nantes Juliusz Verne.

ludzkości się ani śniło. Karyerę swą rozpoczynał Verne nie na literackiej niwie. Studya prowadził w kollegium w Nantes, z kolei uczęszczał na wykłady prawnicze w Paryżu, następnie dłuższy czas pełnił funkcye jako urzędnik na giełdzie. Dopiero przyjaźń Dumasa, wprowadziła go na właściwy dla jego geniuszu—teren pracy. Przed dwudziestu laty, wycofał się Verne z życia publicznego i w rodzinnem swem mieście Nantes, zamieszkał. W ostatnich latach dotknął go srogo los —oślepł bowiem zupełnie. Pomimo tego, nie przestał pracować i dyktując głośno, kontynuował pozaczynane powieści.

Śmierć Vernego, który doczekał późnego wieku, bo blisko 80 lat życia—odbiła się żałobnem echem w całym cywilizowanym świecie, przedewszystkiem zaś w sferach młodzieży, dla której siły i talent swój poświęcił, a jako powieściopisarz, był prawdziwym jej przyjacielem i towarzyszem w wolnych chwilach wytchnienia.

Zamach na warszawskiego oberpolicmajstra.

Rewolucyjne zamachy w Rosyi i Królestwie Polskiem, cechuje zdumiewająca wprost precyzya wykonania, a spiskowców zmowa i odwaga przy ścisłem obliczeniu okoliczności i skutków czynu. Bo też chyba żadne państwo nie dało tak dobrej, praktycznej szkoły rewolucyonistom, jak Rosya. Brak konstytucyi, brak wszelkiej wolności słowa i czynu, policyjno-szpiegowski ustawiczny nadzór nad społeczeństwem — musiały wywołać reakcyę, musiały wytworzyć zorganizowane zastępy malkontentów najrozmaitszych odcieni i odmian, począwszy od teoretycznych socyalistów-utopistów, a skończywszy na ponurych, nieubłaganych wyznawcach „propagandy czynu". Rząd carski nie chce, a może nie jest w stanie zrozumieć całej grozy położenia. Nie może zdecydować się na radykalne uleczenie chorobliwego stanu organizmu społecznego — przez nadanie ludowi jaknajrozleglejszych swobód konstytucyjnych. Przeciwnie, chwyta się tchórzliwych i niegodnych silnego rządu środków: mamienia lu-



Zamach na warszawskiego oberpolicmajstra: Bomba rzucona na Nowym Zjeździe, eksploduje pod kołami powozu bar. Nolkena.

dności czczemi obiecankami konstytucyjnemi, lub ucieka się do jeszcze podlejszego, a o wiele niebezpieczniejszego systemu: tłumienia w krwi ruchu ludowego.

Ani jeden, ani drugi sposób, nie może się oczywiście przyczynić do uspokojenia wzburzonych umysłów—owszem, sytuacya coraz bardziej się zaostrza i coraz groźniejsze pociąga skutki za sobą. Mnożą się tedy zamachy, i literalnie niema tygodnia, by z któregoś z miast carskiego imperium—nie dochodziły Europy straszne wieści o krwawych rozprawach i odwetach ludu na swych krzywdzicielach.

Ostatni zamach, przy praskim moście w Warszawie, wykonany na oberpolicmajstra bar. Nolkena, świadczy wymownie, że rewolucyoniści działają z góry ułożonym i dobrze obmyślanym planem, o czem zresztą najlepiej świadczy przebieg zajścia.

Dnia, 26 marca w cyrkule przy ul. Wileńskiej, usłyszano silną detonacyę w jednym z biur policyjnych. Huk i łomot walących się murów zaalarmował wszystkich urzędników i całą załogę policyjną. Pokazało się, że powodem katastrofy była rzucona bomba. Pocisk spełnił swe zadanie: ściana, dzieląca jeden pokój od drugiego, została rozwaloną, podłoga się zapadła—jednem słowem zamach zdziałał okropne spustoszenie. Sprawcę zdołano ująć. Lecz to był dopiero pierwszy akt dramatu, z góry przez rewolucyonistów obmyślanego. Na telefoniczne doniesienie, pospieszył na miejsce wypadku oberpolicmajster i dwukonną dorożką podążał wraz ze swym adjutantem, rotmistrzem Szepelem, w kierunku mostu praskiego. Wtem nagle, przy Nowym Zjeździe, następuje eksplozya. Bomba strzaskała tył powozu, Szepel odrzucony w tył powozu, zostaje ogłuszony, a Nolken zasypany literalnie odłamami bomby, krwawiąc cały, miał jeszcze na tyle przytomności, że przesiadł się do innej dorożki i przy pomocy Szepla, udał się z powrotem do ratusza. Nolken ma na ciele 120 ran, szczękę wybitą i poważnie zagrożone lewe oko. Adjutant jego Szepel, wskutek kontuzyi, ogłuchł na jedno ucho, najgorzej zaś wyszedł biedny dorożkarz, Jan Kozak. Skutkiem wybuchu, ogłuchł zupełnie i stracił częściowo mowę. Dorożka, którą oberpolicmajster jechał, zupełnie zniszczona, a konie śmiertelnie poranione. Sprawcy zamachu, mimo pościgu, nie ujęto. Zdołał on zbiedz na Maryenstadt, a broniąc swej wolności, położył z rewolweru trupem, ścigającego go tajnego ajenta policyi warszawskiej.

Rycina nasza przedstawia chwilę po wybuchu bomby pod kołami powozu Nolkena, który, słaniając się, na wpół przytomny i ogłuszony eksplozyą — opadł na poduszki dorożki.

Nowy generał-gubernator Warszawy.

W Warszawie pozostają wszystkie problematyczne reformy w dalekiej sferze projektów — co zaś do zmian doraźnych, ograniczają się one właściwie tylko do zmiany pewnych figur urzędniczych, a i tak spowodowane są koniecznością, a nie dobrą wolą sfer rządzących. Pokaleczonego podczas pragskiego zamachu i niezdolnego już do służby bar. Nolkena, musi z konieczności zastąpić inny oberpolicmajster, podobnie, jak na miejsce chorego, dogorywającego gubernatora Czertkowa—przyjść musiał jego następca. Następcą tym jest generał-adjutant K. K. Maksymowicz.



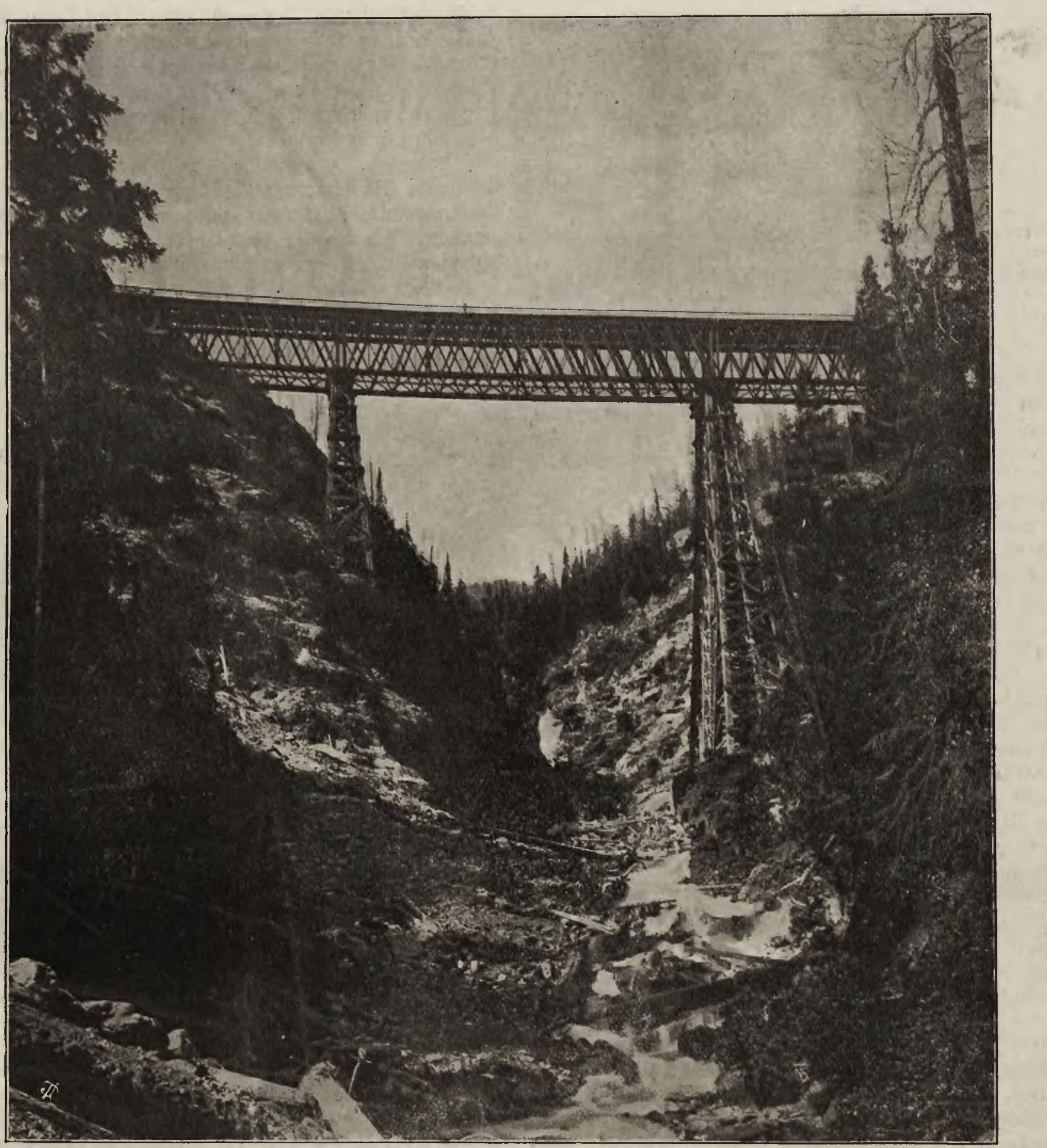
Nowy generał-gubernator Warszawy: Konstanty, syn Klaudyusza Maksymowicza, następca Czertkowa.

O nowym dostojniku krąży fama, że jest człowiekiem liberalnych zasad i w przeciwstawieniu do swego poprzednika, odznacza się humanitarnością, a w naturze swej nie posiada owej mongolskiej dzikości i nienawiści do wszystkiego, co słowiańskie. Maksymowicz pochodzi z rdzennie rosyjskiej narodowości — i dotychczas poświęcał się tylko wojskowej karyerze. Liczy lat 60, jest wysokiego wzrostu i robi podobno dość ujmujące wrażenie. Z dotychczasowego postępowania nowego generał-gubernatora, możnaby przy pewnej dozie dobrej woli wnosić – iż istotnie nie ma zamiaru wstępować w ślady znienawidzonego, starego drapieżnika – Czertkowa.

W podróży z Nowo-Czerkaska (dotychczasowej jego siedziby) towarzyszyli mu: mistrz ceremonii Adam hr. Zamoyski, oraz adjutant ks. Melikow. Przyjechawszy na dworzec — nie przyjął generał-gubernator asysty bezpieczeństwa, utworzonej z kubańskich kozaków, lecz w otwartym powozie, wraz z dwoma swymi towarzyszami, podążył do soboru, gdzie odbyło się nabożeństwo uroczyste. Następnie złożył oficyalną wizytę na Zamku, gdzie go oczekiwała warta honorowa litewskiego pułku.

Wreście. co wywołało w mieście radosne zdumienie i usprawiedliwioną zresztą sensacyę — zjawił się Maksymowicz w katedrze katolickiej św. Jana. Uprzedzone duchowieństwo, oczekiwało go na miejscu. X. prałat Życzkowski, podał mu w bramach kościoła obraz do ucałowania (!) i pokropił nawet generał-gubernatora wodą święconą. Na środku świątyni, wyszedł na jego spotkanie arcybiskup ks. Chościak Popiel, przy czem, jak warszawskie dzienniki z zadowoleniem konstatują, „nastąpiła bardzo serdeczna wymiana powitań w języku francuskim“.

Wszystkie te ładne perspektywy – nie powiemy, żeby wróżyły „nowy kurs“—na każdy sposób dają pewną a niezawodną wskazówkę, że krew niewinnie przelana na ulicach Warszawy — przyprowadziła sfery rządzące do opamiętania: trzeba innych urzędników, trzeba innej formy rządów!



Najdłuższa linia kolejowa na świecie: Most na kolei Brazylijskiej w bliskości kopalni złota pod Stony-Creek-Bridge.

Najdłuższa linia kolejowa na świecie.

Ameryka prześciga świat swemi pomysłami. O czem nawet pomyśleć nie może nasza stara, zakurzona i zabłocona Europa – to Ameryka wprowadza w czyn! Czyż wszyscy nie wiemy o dwudziestopiętrowych pałacach, tak zwanych „drapaczach chmur“ w Chikago, o tych wszechświatowych wystawach, urządzanych coraz to w innem mieście „Nowego świata“, na których reprezentowane są setkami najdziwniejsze wynalazki, najekscentryczniejsze pomysły! Życie Ameryki kipi i wre, a fale jego wyrzucają przed nasze oczy coraz to coś takiego, czemu tylko my umiemy się dziwić!

Szczególnie w dziedzinie udoskonalenia komunikacyi, Ameryka zrobiła ogromny krok naprzód. Pociągi jej z nadzwyczajną szybkością przenoszą się z jednego brzegu Ameryki na drugi, przecinając pasma górskie, przerzucając się lekko nad przepaściami, ślizgając się jakby przez szerokość wiorstowych rzek na długich, uginających się mostach.

Przed niedawnym czasem przybyła Ameryce jedna taka kolej do Brazylii. Łączy ona jeden kraniec Brazylii z drugim, przechodząc śród najpiękniejszych lasów i gór świata, przeżynając najszersze rzeki. Ze względu na długość swoją dopiero z ukończeniem kolei syberyjskiej, musiała ustąpić ostatniej pierwszeństwa.

Budowa tej kolei, prowadzona podczas lat największego rozkwitu republiki brazylijskiej, uskuteczniona była bardzo prędko i starannie, chociaż z ogromnemi kosztami. Przy budowie miało też zajęcie kilku naszych rodaków — inżynierów, którzy tutaj wielce się zasłużyli.

Rycina nasza przedstawia jeden z mostów tej kolei, przerzucony nad korytem rzeki w bliskości miasta Stony-Creek-Bridge, tuż nad kopalnią złota. Właśnie w głębi koryta znajduje się wejście do kopalni.

Most, przedstawiony na rycinie, jest jednym z mniejszych, pomimo to, przerzucony nadzwyczaj lekko i wsparty na dwuch, estetycznych filarach. wykazuje staranność, z jaką był budowany.

Ze świata

(Trucizna i sztylet jako narodowe środki.—Rewolwer.—Proces o zamordowanie żony przez porucznika Modugno. — Miłość w kodeksie cywilnym.—Obowiązek małżonków kochania się.—Śmierć bandyty i ulubieńca kobiet.—Rogula, dwunastoletni alkoholik).

W życiu społeczeństwa włoskiego z dawien dawna trucizna i sztylet odgrywają bardzo ważną rolę. Posługuje się temi środkami zdradzony mąż i kochanek, zaniedbana żona i porzucona kochanka, uczestnik gry w „morę“ i wywiedziony w pole wspólnik jakiegokolwiek interesu. To są narodowe, uprzywilejowane sposoby załatwiania przeróżnych rachunków. W ostatnich czasach do trucizny i sztyletu, przybył nowożytny rewolwer, ale bywa rzadko używany. I stąd Włochy są krainą sensacyjnych morderstw i procesów karnych, a na ławie oskarżonych zasiadają osoby z wszystkich sfer społecznych.

Jeszcze się nie ukończył słynny proces o zamordowanie hr. Bonmartini'ego, chociaż trwa już w Turynie od trzech tygodni, gdy oto w Perugii, wobec sądu przysięgłych, stanął porucznik inżynieryi Vito Modugno, obwiniony o zamordowanie żony swej Wincentyny, córki bankiera Di Cagno w Bari. Procesem tym. zajmuje się żywo opinia publiczna także i z tego powodu, ponieważ Modugno w r. 1900 brał udział w wyprawie do Chin, kiedy to wojska europejskie pod wodzą niemieckiego „generalissimusa“ hr. Waldersee, „uspakajały“ Chińczyków.

Porucznik Modugno twierdzi, że żona jego popełniła samobójstwo; tymczasem rzeczoznawcy sądowi utrzymują, że Modugno kłamie. Lekarze sądowi orzekli, że kula, którą znaleźli w mózgu Wincentyny, pochodzi z rewolweru, kierowanego obcą ręką, że poprostu denatka nie popełniła samobójstwa, lecz została zamordowaną, poczem sprawca zbrodni, położył przy trupie rewolwer. Rzeczoznawcy zaś pisma stwierdzili, że kartki, którą Wincentyna pozostawiła, a w której zawiadamia męża, że sobie sama życie odbiera, nie pisała ona, że więc jest podrobioną. Modugno energicznie przeczy, jakoby on był mordercą żony, a ponieważ przeciwko niemu przemawiają tylko poszlaki i podejrzenia, więc może ktoś inny był sprawcą zbrodni? Może i tutaj odgrywał rolę „trójkąt małżeński“? Obrońcy Modugna, trzymając się zasady: „is fecit, cui prodest“, powiadają nie bez racyi, że Modugno nie miał powodu nastawać na życie żony. Wprawdzie małżeństwo nie było szczęśliwem, a Modugno rycerskością wobec żony nie grzeszył, ale od tego do morderstwa jeszcze daleka droga. Wincentyna otrzymała od rodziców przyzwoity posag i miała jeszcze dostać znaczny spadek, który obecnie stracony jest dla Modugna. Materyalny więc interes nie mógł być powodem zbrodni, innych zaś motywów sam prokurator nie mógł się dopatrzeć z pewnem uzasadnieniem. I dlatego proces Modugna budzi takie zajęcie.

Rozmaicie bywa w małżeństwach, które nie darmo starzy praktycy nazywają grą w loteryę. Rzeczywiście, łatwiej może jest przepowiedzieć, jakie numery wyjdą na loteryi, niż przewidzieć, czy pewien związek małżeński będzie szczęśliwy, czy nie. Nawet wówczas, gdy obie strony, przystępując do ołtarza, płoną nadzwyczajną miłością. Bo miłość jest przecież najważniejszym czynnikiem w pożyciu małżeńskiem. Tak przynajmniej być powinno, tak powiada bardzo znany francuski autor powieści i komedyj, p. Paweł Hervieu, nie obcy również i Krakowianom.

Ale to historya, którą trzeba opowiedzieć „od początku“. Oto francuskie ministerstwo sprawiedliwości, postanowiło zreformować przestarzały kodeks cywilny i w tym celu utworzyło osobną komisyę, która podzieliła się na dziesięć podkomisyj, zajmujących się rozmaitemi działami kodeksu. Podkomisya piąta, której przydzielono prawo małżeńskie, powołała do współpracownictwa dwóch wybitnych literatów: Pawła Hervieu'go i Marcelego Prévost'a. Było to niespodzianką, nawet w republikańskiej Francyi, nawet w Paryżu!

Paweł Hervieu nietylko przyjął wezwanie do współpracownictwa, ale nawet wystąpił z wnioskiem, należycie umotywowanym. Hervieu wyraził zdziwienie, że kodeks cywilny, mówiąc o prawach i obowiązkach małżeńskich, nie zna wyrazu: „miłość“, oświadczył, że uczucie to jest podstawą małżeństwa i postawił wniosek, ażeby kodeks wyraźnie zaznaczył, że „małżonkowie mają obowiązek wzajemnego kochania się“. Tylko tyle! — jak powiedział Papkin, gdy mu królowa serca jego, kazała złowić krokodyla.

Prawnicy, zasiadający w piątej podkomisyi, oniemieli. Przedewszystkiem zapytywali, jak zdefiniować miłość? Ludzie, począwszy od gimnazyastów, a skończywszy na profesorach uniwersytetu, powtarzają ten wyraz, ale niechby którególkolwiek z nich zapytano, co jest miłość, jak ją zdefiniować krótko a trafnie, zapomniałby języka w gębie. A zresztą dobrze: niech ustawa powie, że małżonkowie mają obowiązek wzajemnego kochania się. Kto i w jaki sposób zdoła skontrolować, że oni rzeczywiście kochają się, lub nie? I rozpoczęła się w podkomisyi piątej ogromna dysputa, która skończyła się zwycięstwem Hervieu'go. Podkomisya, w myśl jego wniosku uchwaliła, ażeby odnośny paragraf kodeksu cywilnego miał na przyszłość następujące brzmienie: „Małżonkowie są nawzajem winni sobie miłość, wierność, pomoc i poparcie“. A więc po raz pierwszy wejdzie miłość do kodeksu cywilnego, jeżeli oczywiście rząd, a potem parlament zgodzi się na to. I wtedy może już nie będziemy śpiewać: „Miłość“, to cygańskie dziecię...“ Na razie prasa paryska, miała pyszny temat do feljetonów dowcipnych, zwłaszcza gdy rozprawiała o sposobach kontrolowania, czy małżonkowie rzeczywiście kochają się. Mieli żniwo wszyscy humoryści.

Inne żniwo miała żandarmerya hiszpańska: dostała w swoje ręce słynnego bandytę Villaescusę, którego sława przedarła się nawet poza Pireneje. Villaescusa, z przydomkiem El Cristo, był królem bandytów i poprostu panował niepodzielnie nad częścią Andaluzyi. Ukrywał się z bandą swoją w niedostępnych górach, skąd jak orzeł spadał na swoje ofiary. Obdzierał bogaczów, dawał wsparcia ubogim, a resztę jakby „hidalgo“ jaki, rozrzucał po miastach, do których często zaglądał, ażeby się zabawić! A bawił się po królewsku, kobiety, muzyka i wino — oto było hasłem jego. A ponieważ był pięknym w całem tego słowa znaczeniu, więc kobiety lgnęły do niego i chętnie pozwalały się uprowadzać w niedostępne góry. Cieszył się protekcyą możnych i wpływowych kobiet i dzięki tej okoliczności, zdołał uniknąć szczęśliwie niejednego niebezpieczeństwa. Aż wreszcie kapitan Escribano, na czele kilkudziesięciu żandarmów, otoczył go w głębokim wąwozie. Villaescusa powracał sam z miasta w towarzystwie tylko jednego, zaufanego bandyty, mimo to, bronił się dzielnie i położył trupem kilkunastu żandarmów, wreszcie ugodzony kulą w serce, zginął, a towarzysz jego umknął znaną tylko sobie ścieżką. Zwłoki słynnego bandyty przynieśli na noszach z gałęzi żandarmi do miasta Ronda i wystawili na widok publiczny, złożywszy na zewnętrznych schodach ratusza. Tłumy ludności defilowały przed temi zwłokami, a kobiety publicznie płakały i złorzeczyły żandarmeryi. Dochowały mu wierności...

A skoro już mowa o „bohaterach“, to wspomnieć należy o krakowskim bohaterze, dwunastoletnim chłopcu, nazwiskiem Władysław Rogala, który znany jest dobrze szefowi biura bezpieczeństwa pod telegrafem, radcy policyi p. Swolkienowi. Ów chłopiec dwunastoletni jest nałogowym alkoholikiem! Kiedyż ten chłopiec zaczął pić i kiedy zdołał dojść aż do nałogu? Czy ma rodziców i jakich? Jak wygląda sam, gdzie się chował, jaką ma budowę czaszki? I dalej ciśnie się cały szereg pytań, ważnych dla socyologa i lekarza. Przecież ten chłopiec to illustracya naszych nie opłakanych, ale strasznych stosunków, to przedmiot do poważnego studyum. A dodać należy, choć z niezmierną przykrością, że takie chłopaki mają kochanki.

k. e.

Władysław Paszkowski.

To śpiewak, który od pierwszej chwili wziął się seryo... Jego poważne studya fachowe, wędrówka po świecie zasługują na to — aby je zanotować.

Z uniwersytetu lwowskiego przechodzi — jak wielu innych — do prof. Wysockiego, u którego kształci swój głos basowy. Następnie u Günsbacher w Wiedniu, a dalej u Giovanniniego w Medyolanie. W międzyczasie śpiewa na koncertach.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Władysław Paszkowski.

W r. 1888 bierze udział w kompozytorskim koncercie Galla w Warszawie i wprowadza pierwszy w świat cudną piosenkę „Dziewczę z buzią, jak malina“.

W czerwcu roku 1889 debiutuje jako Baltazar w „Favoricie“ w mieście Jolinie pod Rzymem. W Empoli pod Florencyą śpiewa Mefista w „Fauście“; w Ravennie występuje jako Basilio w „Cyruliku sewilskim“.

W r. 1890 i 1891 objeżdża prawie całą Brazylię z towarzystwem operowem włoskiem Maestra Franco i śpiewa w Pernambuco, Bahija, Parà, Marau-Hao itd. Po roku 1891 wraca do Włoch, gdzie występuje z dużem powodzeniem w wielu teatrach włoskich, zyskuje *angagement* w „Carcano“ w Medyolanie, a następnie w r. 1894 bierze udział w sezonie włoskim w letniem Staggione w Pradze.

W r. 1895 bawi w Krakowie jako gość w operze i operetce łódzkiej za dyrekcyi Pawlikowskiego i Barabasza. W jesieni tego roku z tą samą operą przybywa do Lwowa, poczem udaje się do Berlina na studya niemieckie.

W Berlinie śpiewa na wielu koncertach z takiem powodzeniem, że proponują mu świetne *angagement* do Wrocławia, którego jednak nie przyjmuje i powraca do Włoch.

Ostatniem jego miastem we Włoszech jest Moncy, gdzie śpiewa w lecie 1897 r. Alvise'a w „Giocondzie“. Tu otrzymuje znów nader korzystną propozycyę do teatru Communale w Tryeście, ale przenosi propozycyę pp. Hellera i Bandrowskiego do Lwowa, dokąd przybywa w r. 1897, i gdzie stale przebywa. Naturalnie, że razem z operą i operetką tutejszą był w Krakowie i w Warszawie...

A zatem śpiewak wędrowny w najromantyczniejszem słowa znaczeniu. Miał on dość sposobności do studów...

Paszkowski ma potężny głos basowy o pięknym dźwięku jest filarem każdoczesnego sezonu operowego. W pauzach, jako stale angażowany artysta, posiłkuje operetkę, w której „robi“ partye charakterystyczne i jest — jak to łatwo zrozumieć — siłą bardzo cenną. Po tylu i takich wędrówkach, obrał sobie naszą scenę jako stały punkt oparcia i tu zamierza pobierać kiedyś emeryturę. Do tego czasu śpiewa i podoba się bardzo publiczności i recenzentom.

Poza sceną człek jowialnie-poważny, niby wiecznie zaspany, zawsze sympatyczny, przez wszystkich (no i przez podpisanego) lubiany.

Na *„prima aprilis“* otrzymał anonimowy podarunek z emblematami kawalerskiego stanu... Arcydzieło pomysłu... Było trochę śmiechu...

Do najulubieńszych ról jego należą: Mefisto („Faust“), Basilio lub Bartolo w „Cyruliku sewilskim“, Tonio w „Pajacach“, Baltazar w „Favoricie“, Gaspard w „Wolnym strzelcu“, Ojciec („Jaś i Małgosia“), Beppe w „Fra-Diavolo“ i wiele innych.

Klewe.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Liniewicz osobiście zachęca żołnierzy do dalszej walki, powstrzymując ich zarazem od cofania się z pola walki pod Mukdenem.

Hun, pod Mukdenem i w czasie odwrotu. Wszystkie te walki, nie mniej krwawe od poprzednich, nie mniej straszne i obfite w okrucieństwa wszelkiego rodzaju, odróżniały się od poprzednich tylko jednem, a mianowicie: olbrzymiemi ofiarami, które poniosła tak jedna, jak i druga strona. Straty te po stronie rosyjskiej są tak znaczne, że obecnie armia rosyjska nie jest zdolną do stawienia czoła armii japońskiej i dopiero po sprowadzeniu nowych korpusów z Europy mogłaby się mierzyć z wrogiem. Obecnie całość zadania, spoczywającego w rękach Liniewicza, ogranicza się do tego, by się tylko cofać i to cofać coraz dalej i nie narażać resztek armii na nowe klęski! Już to samo cofanie się i stosowanie tego samego środka, którego użyli kiedyś względem wojsk Napoleona, jest nadzwyczaj problematyczne, gdyż nikt nie przypuszcza, by Japończycy po wyparciu Rosyan z Mandżuryi, po zdobyciu Władywostoku i odcięciu Rosyi od morza — chcieli posuwać się dalej w stepy i pustki sybirskie i tam ścigać tych, którzy sami uciekają i po poniesionych klęskach nie będą mieć z pewnością odwagi zaatakować obwarowanych pozycyj japońskich w Mandżuryi. Japończycy zaś mogą, zająwszy Mandżuryę, zdobywszy Władywostok i Sachalin — spokojnie obwarować się i czekać tych olbrzymich sił rosyjskich z Europy, któreby były w stanie ich zwyciężyć.

W ten sposób wojna przeciągnęłaby się na czas nieograniczenie długi a do walki wystąpiłyby z sobą kapitały! Bo tylko od zasobności finansowej zależałoby zwycięstwo jednej lub drugiej strony. Japonia miałaby za sobą dogodniejsze warunki o tyle, że w środki żywności zaopatrywałaby całą armię Mandżurya, która jest krajem urodzajnym i bogatym. Pod tym względem Rosya znajdowałaby się w nadzwyczaj ciężkiem położeniu. A kwestya finansowa, tak trudna do rozwiązania już dziś, byłaby najważniejszym szkopułem, o który rozbiłyby się wszelkie zamiary i pretensye Rosyi! Już dziś zagranica nie chce Rosyi udzielić pożyczki i już dziś znajduje się carat w krytycznem położeniu z powodu braku środków finansowych do dalszego prowadzenia wojny.

Telegramy przynosiły już wieści, że w południowej Rosyi chłop nie chce płacić podatku, a wyciśnięto już, z kogo tylko się dało i wszystko, co się dało wycisnąć, tak, że obecnie pozostaje jeden tylko środek zdobycia środków pieniężnych na dalsze prowadzenie wojny, a mianowicie: ograbienie klasztorów z ich skarbów! I rząd rosyjski odważyłby się i na to, ale obawia się, że może tym postępkiem wywołać rozgoryczenie i oburzenie wśród ludu rosyjskiego — a i bez tego ma dość kłopotów z uspokojeniem niezadowolonych i buntujących się żywiołów w całej Rosyi.

Tak więc horoskopy na przyszłość dla caratu układają się niepomyślnie i niema żadnych widoków nie tylko zwycięstwa Rosyi w tej wojnie, ale nawet możność dalszego prowadzenia wojny przez Rosyę jest poważnie zakwestyonowaną.

A mimo bombastycznych pogróżek Rosyi, mimo podobno oficyalnego oświadczenia cara, że wojnę chce prowadzić aż do zwycięstwa — pogłoski o rychłem zawarciu pokoju nie ustają. I tak angielska gazeta *Daily Express* otrzymała od swego korespondenta z Petersburga wiadomość, że najdalej za sześć tygodni wojna się skończy. Rosya podobno zgodziłaby się na zakończenie wojny, ale pod warunkiem, że nie zapłaci ani kopiejki odszkodowania wojennego, a odstąpi tylko Mandżuryę Chinom i nie będzie się mieszała do spraw



Z wojny ros.-jap.: Widok na miasto i port wojenny Władywostok.

Korei. A groźby, dotyczące mobilizacyi nowych korpusów są tylko w tym celu rozpuszczane, by Japonię uczynić skłonniejszą do postawienia łagodniejszych warunków pokojowych.

O pokoju ogłasza też ciekawe rewelacye poseł japoński w Londynie, Hajaszi:

W lipcu zeszłego roku miała się do niego zgłosić pewna osobistość, wysłana przez Wittego, który bawił w tym czasie w Berlinie, z prośbą, by się gdziekolwiek zjechał z Wittem dla omówienia warunków pokoju. Hajaszi zgodził się na tę propozycyę — ale Witte później udziału w tym zjeździe odmówił.

* * *

Z pośród całej masy szczegółów ostatnich walk pod Mukdenem, strasznych tysiącznemi ofiarami, które legły na polach mukdeńskich, należy podnieść te epizody, które prawdziwie świadczą o bohaterskiej obronie i męstwie żołnierzy rosyjskich.

Korpus generała Rennenkampfa był tym, który na lewem skrzydle walcząc z armią generała Kawamury i Kurokiego, zdołał wytrzymać najgwałtowniejsze ataki nieprzyjaciół. Jedną z tych strasznych scen na lewem skrzydle rosyjskiem przedstawia nasza rycina, wyobrażająca rozpaczliwą obronę Rosyan przed atakującemi kolumnami japońskiemi. Walka ta, w której przyszło do starcia krwawego na bagnety, zakończyła się wprawdzie porażką Rosyan, ale obrona ich była tam prawdziwie bohaterską.

W walce tej brał udział osobiście generał Rennenkampf — nieco odcięty od centrum armii i odparty daleko ku północnemu wschodowi aż poza Fuszun.

Charakteryzującemi i dosadnie malującemi usposobienie ludności chińskiej są sceny, jakie się rozgrywały w Mukdenie, po opuszczeniu go przez wojska rosyjskie.

Odwrót Rosyan z Mukdenu nastąpił w popłochu i niespodziewanie. Sam Kuropatkin nie przypuszczał, by tak szybko musiał się wyrzec tak ważnego z wielu względów punktu oparcia, jakim jest Mukden. Cofające się przed pościgiem japońskim wojska rosyjskie, ledwie zdołały ujść całkowitego osaczenia, jakie im groziło pod Mukdenem. Ustępując nie miały czasu zabrać stąd ani zapasów żywności, ani zapasów amunicyi, ani też rannych i chorych, których tysiące leżało po szpitalach i domach prywatnych. Uciekając, nie można było nawet myśleć o obciążaniu armii taborem i lazaretem i wszystko to trzeba było zostawić na łaskę i niełaskę Japończyków. Na ochronę szpitali, rannych i chorych, lekarzy i sióstr „Czerwonego krzyża“ pozostawili Rosyanie w mieście nieznaczną ilość wojska, które popite, zamiast strzedz szpitali, hulało i dopuszczało się orgij i gwałtów na chińskich mieszkańcach. Razem ze strażą tylną, złożoną z dzikich kozaków, szerzyli zniszczenie w około, rabując i kradnąc co i gdzie się tylko dało.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze rosyj...

Ludność chińska pamiętała dobrze te wołające o pomstę krzywdy, które znosiła na swych barkach przez cały ciąg rządów rosyjskich w Mandżuryi. Wiadomo, jak obchodziło się nietylko dzikie i głodne żołdactwo, ale i sami generałowie i oficerowie z Chińczykami, którzy musieli całe swe mienie i siły oddawać na usługi wojskom rosyjskim.

W armii rosyjskiej znajdowali się generałowie, którzy od początku wojny zasłynęli nietyle dzielnością i męstwem w boju, jak najbardziej barbarzyńskiemi rabunkami i gwałtami, którzy ograbili wszystkie świątynie i rozkradli wszystko, co było wartościowego w Mandżuryi.

To też w chwili, gdy ostatni pułk opuścił już Mukden — ludność chińska rzuciła się na pozostałych po szpitalach żołnierzy, a rozbroiwszy i pokonawszy wkrótce tę nieliczną garstkę wojska, która pozostała na straży — rozpoczęła okrutną rzeź.

Bezbronni lekarze i siostry zakonne, które pozostały na swych stanowiskach przy chorych i rannych, musiały życiem swem odpokutować za okrucieństwa i krzywdy, popełniane na nieszczęśliwych Chińczykach przez bezwstydne czynownictwo i żołdactwo rosyjskie.

Chińczycy mszcząc się, pastwili się w zwierzęcy sposób nad swemi ofiarami. Zanim nadeszło wojsko japońskie, większa część Rosyan, pozostałych w Mukdenie, zginęła okrutną śmiercią.

Po wkroczeniu do miasta Japończyków, spokój i porządek został natychmiast przywrócony. W pismach warszawskich pojawiły się ciekawe szczegóły o doli żołnierzy Polaków, na Dalekim Wschodzie. Po bitwie pod Mukdenem, zabrakło miejsca dla rannych żołnierzy w szpitalach w Charbinie. Co godzina przybywały pociągi, przepełnione rannymi i z każdą godziną robiło się ciaśniej w szpitalu warszawsko-łódzkim, przeznaczonym dla Polaków, biorących udział w walce. Trzeba było opróżniać łóżka, usuwać lżej chorych rekonwalescentów, aby można było umieścić rannych, broczących we krwi, a potrzebujących natychmiastowego opatrunku, operacyi i opieki lekarskiej. Okazało się, że to wszystko, co było przygotowanem w Charbinie na przyjęcie chorych i rannych, było



Z wojny ros.-jap.: Walka forpoczt japońskich z rosyjskim oddziałem tylnej straży.



...y poddający się forpocztom japońskim.

cie 450 kilometrów, dzielących Charbin od Mukdenu, po tak krwawych zapasach, w jakich brały udział wojska japońskie nad rzeką Szaho i Hun, jest istotnie rzeczą nadzwyczaj uciążliwą, gdyż wiemy przecie, jak ciężkiemi są drogi w Mandżuryi. Marszałek Oyama zapowiedział wprawdzie, że 10 kwietnia stanie w Charbinie — ale korespondenci wojenni wątpią, czy tak szybko, mimo widocznego pośpiechu, zdoła on zająć to miasto, którego zdobycie rozstrzygnęłoby o losach Władywostoku.

W pościgu obecnym za wojskami rosyjskiemi, znać zmianę dotychczasowej taktyki japońskiej.

Dotychczas po każdej większej bitwie, po odparciu wroga i zmuszeniu go do odwrotu, dawali wodzowie japońscy wojskom swym dłuższy wypoczynek. Tak było po bitwie pod Liaojanem i nad rzeką Szaho. Obecnie pościg japoński trwa nieustannie, co wskazuje, że klęska Rosyan pod Mukdenem, była tak straszliwa, że nie mogą się oprzeć napierającym i ścigającym ich kolumnom japońskim i że siły Japończyków są obecnie tak potężne, że mogą się pokusić o zupełne osaczenie i rozbicie niedobitków Liniewicza. Koroną całego pościgu, byłoby zajęcie Charbinu!

Z dotychczasowego przebiegu całej wschodnio-azyatyckiej kampanii, bystry spostrzegacz nie może się oprzeć jednemu: uczuciu podziwu.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kaulbars, dowódca drugiej armii rosyjskiej następca gen. Liniewicza.

Skąd ten mikroskopijny — w porównaniu z Rosyą — kraik, o mieszkańcach wątłej budowy, na w pół cywilizowanych — jak dotychczas sądzono mógł znaleźć tyle moralnych i materyalnych sił i zasobów, jakie potrzebne były do wzruszenia w posadach moskiewskiego kolosu.

niewystarczające, że sił lekarskich było za mało, że brakowało łóżek dla rannych, że nie było gdzie pomieścić nietylko lżej rannych, ale i tych, których życie wisiało na włosku. Obecnie lżej rannych i rekonwalescentów wysyła „Czerwony Krzyż“ do szpitali petersburskich i innych w głąb Rosyi, a z tych, wysyłają ich na wsie do wielu obywateli wiejskich, którzy zgodzili się u siebie przetrzymywać rekonwalescentów. W szpitalach petersburskich, przebywa także znaczna ilość żołnierzy rekonwalescentów, dla których zorganizowano w ostatnich dniach w Warszawie specyalny komitet, złożony z obywateli ziemskich, którzy się mają zająć rozebraniem tych rekonwalescentów do siebie na wieś. Prawdopodobnie, że żołnierzom tym, będzie daleko lepiej we wsiach obywateli-Polaków, niż w szpitalach rosyjskich, gdzie będący w kłopotach pieniężnych rząd, skąpi wszystkiego.

Petersburska gazeta „Słowo“ donosi, że według oficyalnych wykazów urzędowych, poległo dotychczas na Wschodzie mandżurskim przeszło 650 oficerów i około 30 tysięcy żołnierzy Polaków.

Są to olbrzymie straty! Za sprawę obcą, za wroga, musiało złożyć życie w ofierze tyle tysięcy ludzi młodych i silnych, którzy w kraju będąc, mogliby nieposzolite usługi oddać narodowi. Kwiat narodu naszego został wyrwany z macierzystej gleby i przesadzony na ziemię obcą, na której musiał uschnąć, zwiędnąć i zginąć.

W chwili, gdy na około różne pisma zagraniczne, podają z najróżnorodniejszych źródeł projekty pokoju, który w bliskim czasie ma być zawarty między Rosyą a Japonią, sytuacya na placu wojny tak się układa, że znów może dojść do nowej bitwy. Ze źródeł rosyjskich pochodzące wiadomości mówią, że przednie straże japońskie z zadziwiającą szybkością i pośpiechem posuwają się ciągle naprzód, że japońskie oddziały konnicy, podburzywszy plemiona mongolskie przeciw Rosyanom i uzbroiwszy je odpowiednio, pokazały się na tyłach armii rosyjskiej, która nie ochłonęła jeszcze z tego przerażenia, w jakiem uciekała z pod Mukdenu i Tienlinu. Pościg jest tak gwałtownym, że pisma zagraniczne dziwią się, iż wojska japońskie mogą tak szybko i tak skutecznie maszerować ciągle i naprzód za wojskami Liniewicza. Przeby-



Z wojny ros.-jap.: Rosyanie powstrzymujący gwałtowny atak Japończyków w czasie odwrotu z pod Mukdenu.

KRONIKA LWOWSKA.

(Bufet dla radnych. — Zmiana na lepsze, — Wyrównanie nierówności. – Wiec szynkarzy. — Eleuterya nie bierze udziału. – Zagrożone interesa. — Dwa wypadki śmierci. – Topielec cywilny w wojskowym stawie, – Pośpiech ratunkowy. — Kuczkowski wraca. — Ankieta. – Opieka i gorliwość podatkowa. — Nowa choroba mózgowa. – Jej objawy u nas. – Zmiana frontu naszej Filharmonii.)

Skarżono się niejednokrotnie, że przebieg posiedzeń naszej rady miejskiej jest nudny, jałowy, za mało interesujący. Ażeby temu na przyszłość zapobiedz, uchwalono urządzić bufet dla radnych, który ma funkcyonować podczas posiedzeń i podawać spragnionym ojcom gorące napoje i zimne przekąski. Okoliczność ta przyczyni się niezawodnie do ożywienia narad i wyrówna niejedną nierówność przekonań ojców. Bo przyznajmy, że nigdy nie jesteśmy skłonniejsi do zgody, braterskich wynurzeń i porywów, jak przy bombce pilznera, przy trącaniu się kieliszkami, zwłaszcza po czwartej, szóstej, dziesiątej turze! Cóż dopiero mówić o wpływie bufetu na samą wymowność naszych ojców! Toż to dopiero rozwiążą się języki, gdy rajca Platowski albo ojciec Mokrzycki będzie miał „na świeżo“ ośm halb pilzneńskiego w nogach! Niejedną sprawę, już dawno pogrzebioną, odgrzebie się na nowo, niejeden sąd salomonowy padnie z radzieckiego fotelu, niejedna odpowiedź ognista przeszyje uszy innych kolegów-radnych. To też zapowiada się znamienny zwrot w historyi naszej rady, co z obowiązku sumiennego kronikarza zanotować byłem winien.

Tak samo nie wolno mi pominąć wiecu szynkarzy galicyjskich, który obradował u nas w ubiegłym tygodniu pod przewodnictwem p. Janowicza. Cel, zadania i tok obrad wiecu, jakoteż uchwalone na nim rezolucye, znane są z dzienników. Dodać mi tylko wypada, że wiec odbył się spokojnie, bez żadnych demonstracyjnych przeszkód ze strony tutejszej „Eleuteryi“, która nawet nie oświadczyła się wcale, czy jest za przedłużeniem prawa propinacyi, czy nie. Prezydyum wiecu, które i z poza grona szynkarzy zaprosiło do udziału w obradach wiecu osoby interesujące się przemysłem gospodnio-szynkarskim, przecież reprezentantów „Eleuteryi“ nie zaprosiło, pomimo, że ona właśnie zajmuje się może najwięcej temi sprawami. Wtajemniczeni upatrują w tem zwykłą zawiść.

A przecież należało i „Eleuteryę“ dopuścić do wyrażenia swojej opinii, a to w interesie pijącej ludności bez różnicy wyznania i płci.

W każdym razie rezolucye powzięte na wiecu, jakoteż okoliczność, że dyrektor Roger baron Baglia całą tę sprawę poruczył do poruszenia w drodze interpelacyi w parlamencie, niemieckiemu posłowi drowi Sichtowi w braku odpowiedniego posła polskiego, każą się spodziewać, że zagrożone interesa szynkarzy galicyjskich i zapijającej się ludności są na najlepszej drodze do uratowania. Uwzględniając bowiem inteligencyę i zawodową kwalifikacyę pp. szynkarzy, będziemy musieli przyznać, że należy im się słusznie lepszy byt w przyszłości, skoro dziś, mimo tylu zasług, każdy z nich zaledwie dwie, trzy kamieniczki posiada i mały, nawet nie krociowy majączek...

Co się zaś tyczy interesów pijącej ludności, to każdy myślący człowiek zrozumie, że potanienie tak ważnego czynnika cywilizacyjnego, jakim jest alkohol, powinno każdemu leżeć na sercu, komu przyszłość narodu, jego rozwój, wzrost i zbawienie nie są obojętne.

Z kilku wypadków śmierci naturalnej i nienaturalnej dwa tylko wypadki z ubiegłego tygodnia są więcej zajmujące. Pierwszy, to śmierć z zakażenia krwi, rzekomo spowodowana nieumiejętnem zatruciem zęba u dentysty Wiktora, która to sprawa jeszcze nie jest należycie zbadaną, dlatego o niej na razie nic bliższego nie podaję. Drugim wypadkiem, jest utopienie się pewnego robotnika w stawie Pełczyńskim (pływalnia wojskowa), który to fakt przedstawia się następująco:

Pewien czeladnik szewski, zwany „Krzyworączką“, postanowił umrzeć. Około godziny 9 wieczór wskoczył do stawu Pełczyńskiego, który obecnie jest pływalnią wojskową. Spostrzegli to, a raczej krzyk topielca usłyszeli przechodzący obok stawu starsi studenci, którzy chcieli topiącego się uratować. Ale jak? Rada w radę skoczyli do pobliskiej kancelaryi majora, który jest podobno komendantem pływalni, z prośbą o wypożyczenie potrzebnych narzędzi. Pan major spytał, czy to „cywil“, czy „wojak“. Odpowiedzieli, że „cywil“. Wobec tego oświadczył pan major, że muszą się do niego zwrócić odnośne władze z pismem, bo on tak „brevi manu“ cywilnych spraw nie załatwia. Studenci udali się więc do Towarzystwa ratunkowego. Topielec wypił tymczasem dużo wody. Towarzystwo ratunkowe telefonuje do pana majora. Pan major ma zasady. Topielec idzie na dno.

Towarzystwo ratunkowe jedzie na miejsce wypadku. Audyencya u pana majora i pożyczenie jakiegoś drąga. Topielec jest już w niebie, gdzie spotyka się ze swoimi przodkami i opowiada im cuda o lwowskim pospiechu. Dlatego poszukiwanie go w stawie jest bardzo utrudnione i przez całą prawie noc bezowocne. Znaleziono go dopiero drugiego dnia uśmiechniętego. Śmiał się zapewne z tych, którzy chcieli mu przeszkodzić w zamiarze samobójczym. Wiedział, jakie miejsce obrać, ażeby nie być przeszkodzonym. Morał: gdy się chcesz skutecznie utopić i uniknąć przeszkód, idź do pływalni wojskowej.

Pan major jest oburzony, że cywile mają śmiałość zanieczyszczać mu c. i k. staw swoimi cywilnymi zamiarami. Tymi dniami wywiesi napis nad stawem: „Cywilnym samobójcom wstęp do c. i k. stawu surowo wzbroniony“. Ad notam.

Niesłychana radość zapanowała w mieście naszem na wieść, że Kuczkowski jest we Włoszech, a nie umarł — broń Boże — nie popełnił samobójstwa, nie uciekł do Ameryki, nie wykoleił się, nie zatonął na okręcie — jednem słowem jest. Wyjechał sobie na świeże, południowe powietrze do Włoch na odpoczynek po trudach. A że władze tutejsze są zdania, że dostatecznie wypoczął, zaprosiły pana Kuczkowskiego, by resztę swego urlopu przepędził w kraju. Spodziewamy go się lada dzień ujrzeć we Lwowie. Radość w magistracie i mieście nie do opisania, choć wszyscy są pewni, że Kuczkowski nie całkiem jest zadowolony z odwołania z urlopu. Inni twierdzą, że anonimowe doniesienie o obecnem miejscu pobytu Kuczkowskiego, jakie wpłynęło do sądu karnego, pochodzi od niego samego, gdyż nie mając więcej gotówki, zatęsknił za ojczyzną, do której powrót mógł wrócić na koszt państwa. Gdy wróci, napiszę Wam, jak wygląda i co mówi, choć już i dziś jedno zdradzić Wam mogę. Żąda mianowicie p. Kuczkowski przedewszystkiem, ażeby sprawę jego na razie zawieszono aż do wyniku obrad ankiety nad reformą śledztwa karnego, a raczej, aż do samej reformy.

W ankiecie tej jednak objawia się tyle różnych zdań, że obawiać się należy, by rezultat jej nie był minimalnym. O tej ankiecie napiszę zresztą po jej ukończeniu. Dziś pozostaje mi jeszcze wspomnieć o nadzwyczajnej opiece, jaką roztoczyła nasza administracya podatków nad podatnikami, ażeby odbić ogromne koszta mającego się przebudować gmachu krajowej Dyrekcyi skarbu. Oto pokazało się, że podatki ściągane nie wystarczają na opędzenie potrzeb skarbowych, a że na rozpisanie i nałożenie nowych podatków czekać jakoś nie można, przeto postanowiła administracya podatków ten sam podatek po kilka razy ściągać, mając to słuszne przekonanie, że obywatele, płacący rozmaite podatki i tak sobie jasno nie zdają sprawy, za co płacą i nie spostrzegą, czy już raz płacili.

Niektórzy atoli spostrzegli i za to spotkała ich należyta kara, bo sprzedano im graty domowe, a niektórych nawet zasądzono w drodze karnej za opór władzy.

W związku z tem nie zostaje niestety nowo odkryta epidemia zapalenia opon mózgowych, która i — to najciekawsze — objawia się inaczej w zachodniej Galicyi, a inaczej tu u nas we wschodniej. Wspominam tylko o tej, która nas tu bliżej obchodzi, że objawia się ona dość gwałtownie. Ludzie dotknięci tą chorobą tracą prawie wzrok, wypisują na papierze wielkie cyfry, każą podwładnym te cyfry realizować, słuch tracą z kretesem, a natomiast zaostrza się u nich węch, że niczem wyżeł, lub chart. Każdy nowo wstępujący kandydat na praktykanta konceptowego skarbowości musi się wykazać świadectwem lekarskiem, że tą chorobą jest dotknięty. Szybkość awansu zostaje w prostym stosunku do wielkości gorączki chorobowej.

Na zakończenie słówko o naszej Filharmonii. Nie piszę o koncertach, bo tych nie urządza się w Filharmonii, ale w domu Narodnym. Dyrekcya Filharmonii dowiedziawszy się z dzienników, że p. Mieczysław Wessel zapisał w testamencie półtora miliona rubli na Filharmonię warszawską, zamknęła swoje muzykalne wrota i czeka teraz, czy nie zlituje się kto z muzykalnych, a bogatych kandydatów na nieboszczyków i nie zapisze jakiś milionik na naszą Filharmonię. Dyrekcya bowiem obliczyła, że urządzając jak teraz po sześć koncertów w roku, musiałaby nawet przy najlepszem powodzeniu czekać i istnieć kilkaset lat, ażeby się dorobić takiego majątku. Pan Lityński byłby wtedy takim staruszkiem, że nie cieszyłyby go pieniądze. Dlatego woli czekać na podobny legat. I czeka.

Klewe.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

„Nieszczęście, jak się kogo uczepi, to nie łatwo się go dczepi“. Stare przysłowie, sprawdzające się obecnie i na Moskalach od samego początku wojny. Jak zaczęli uciekać z nad Jalu, tak, zdaje się, nie zatrzymają się aż za Charbinem. Pogrom pod Mukdenem wywołał olbrzymie spustoszenie wśród armii rosyjskiej i straszne skutki ostatnich klęsk odbijają się dotkliwie na całej armii. Pomijając już to, o czem pisaliśmy w poprzednim numerze, że armia rosyjska jest wystawioną na głód, z powodu braku wszelkich środków żywności, armia japońska niezmęczenie ściga rozbitków rosyjskich i dokłada wszelkich starań, by nie dopuścić do skoncentrowania się ponownego rozbitych sił rosyjskich, a nadto zmusić Rosyan do przyjęcia bitwy w takich warunkach, że pogrom ponowny byłby nieunikniony.

W tym celu pospiesznymi marszami idą armie japońskie wzdłuż toru kolejowego ku północy i starają się obecnie znowu obejść rozproszone siły wojska Liniewicza, który ucieka aż za Charbin.

Tendencyą wojsk japońskich jest odciąć wojska rosyjskie przedewszystkiem od Charbina, a następnie i od Władywostoku, a otoczywszy ze wszystkich stron, zniszczyć zupełnie siły lądowe Rosyi, które obecnie, zdemoralizowane ostatniemi klęskami, pozbawione dowozu żywności i niezaopatrzone należycie, nie będą w stanie stawić oporu zwycięskim kolumnom japońskim — będącym nawet w liczebnej przewadze nad siłami generała Liniewicza.

Czy generał Liniewicz potrafi wywiązać się należycie ze swego zadania i czy zdoła uniknąć zasadzki i doprowadzić rozbitą armię do Charbina, to kwestya czasu. To jest jednak pewne, że generał Noghi pościgu nie zaprzestanie i wyzyska wszelkie okoliczności na niekorzyść Rosyan. O ile by nawet *gross* armii rosyjskiej się wymknęło — to pewne, iż te przynajmniej dwa korpusy, które od centrum armii odcięto i które nie zdołały się jeszcze połączyć z głównemi siłami armii, są stracone i że prędzej czy później ulegną one zupełnemu osaczeniu przez Japończyków.

Od południa postępuje generał Nodzu w ślad za cofającą się armią rosyjską tak, że tylne straże są zawsze w stałym kontakcie z forpocztami japońskiemi. Bardzo charakterystycznym objawem dla stosunków w armii rosyjskiej jest stwierdzona przez wszystkich korespondentów tłumna dezercya do obozu japońskiego. Niema dnia, żeby żołnierze z armii rosyjskiej nie uciekali i nie dezerterowali!

A obecnie, kiedy głód i wszelkie niedostatki dokuczają żołnierzom rosyjskim bardziej, niż kiedykolwiek — wzmogła się dezercya jeszcze w większym stopniu, tak że całe oddziały oddają się Japończykom. Jest to fakt, świadczący wymownie o duchu w armii rosyjskiej.

Dezorganizacya święci tam swoje tryumfy — a przygnębienie i demoralizacya jest ogólną, tak że w podobnych warunkach nie może nawet być mowy o zwycięskiej akcyi Rosyan. Najczęściej dezercya zdarza się na skrzydłach i tyłach armii, gdzie armie nieprzyjacielskie są z sobą w ciągłym kontakcie. Bardzo często zdarza się, że całe zastępy, oddziały straży tylnej wywieszają na bagnetach białe chusty i poddają się dobrowolnie forpocztom japońskim.

Jedną z podobnych scen przechodzenia na stronę japońską, przedstawia nasza rycina. Cały oddział, stojący na bocznej placówce, wyzyskał dogodną chwilę i przeszedł na stronę japońską.

Dezerterzy oddają broń, poddając się i pojedynczo, wyciągniętym sznurem, zbliżają się do straży japońskich. W twarzach poddających się żołnierzy znać widoczną radość, że skończyły się już ich niepewne losy, ich pełne niebezpieczeństwa i niewygód życie obozowe i każdy z nich co prędzej zdejmuje karabin i rzuca go o ziemię, byle się raz już pozbyć tego niepotrzebnego i znienawidzonego ciężaru.

Te fakta mówią najwyraźniej o atmosferze, panującej wśród armii rosyjskiej i bez przesady można powiedzieć, że daleko cięższe klęski ponosi Rosya z rąk swych własnych żołnierzy, niż z rąk żołnierzy japońskich. Przyczyny podobnych faktów są jasne i znane i nie potrzeba tu powtarzać raz jeszcze, że cały system rządów biurokratycznych i czynowniczych mści się obecnie na samej Rosyi, że ma ona takich żołnierzy — jakich sobie wychowała.

Korespondenci wojenni podają obecnie szereg szczegółów o ostatnich walkach nad Szaho, nad

Włodzimierz Malawski.

Aktorstwo — to stan do niedawna jeszcze wyklęty. Aktorów nie uważali ludzie za swoich współbliźnich. W średnich wiekach, w pewnych krajach, ciążyła nad nimi klątwa prawa, a nawet i kościelna. Biedny „histryon“ nie miał spokoju za życia, ani po śmierci. „Homini vagantes“ — włóczęgi, jak ich ustawa nazywała, nie mogli się nigdzie stale osiedlać, ani zamieszkiwać. Najwolnomyślniejsze stosunkowo prawo magdeburskie — wyjmowało ich z pod ochrony ustaw, a po śmierci — nie sprawiano nawet wędrownemu artyście chrześcijańskiego pogrzebu. Po za obrębem cmentarza, w niepoświęcanej ziemi, składał niejeden artysta prawdziwy — kości swoje na wieczny spoczynek.

Z biegiem wieków i lat, przyszło społeczeństwo do przekonania, że zawód artystyczny, jakimkolwiekby on nie był—zasługuje na należyty szacunek. Dzisiaj—w teatrze polskim, mamy dość przedstawicieli „żywego słowa“, którzy stwierdzają niezbicie, że uprzedzenia towarzyskie i kastowe, w odniesieniu do nich, były śmiesznością i anomalią. Mamy w teatrze ludzi, którzy nie dla wątpliwej a karkołomnej karyery, życie i zdolności swe scenie poświęcają. Mamy ludzi z wyższemi aspiracyami, z wyższem wykształceniem nawet, którzy nie wzdragali się pójść za głosem wrodzonego popędu i — zostali... aktorami. Do takich wyjątkowych indywidualności należy sympatyczny śpiewak lwowskiej operetki — Włodzimierz Malawski.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Pan Malawski jest z zawodu lekarzem. Studya medyczne kończył w Krakowie, w rodzinnem swojem mieście, gdzie należy do jednej z pierwszych patrycyuszowskich, mieszczańskich rodzin.

Już jako student i akademik, oddawał się Malawski z zapamiętaniem, cechującem przyszłego artystę—sztuce śpiewaczej i organizowaniu kółek śpiewaczych. Gdy wreszcie przejadły mu się mozolne a suche studya medyczne — powziął śmiałą myśl: wstąpienia na scenę.

Młody śpiewak musiał w początkach swej artystycznej karyery borykać się z niejedną techniczną trudnością, czekającą na każdego debiutanta. Nieobycie się ze sceną, nie całkiem umiejętne sceniczne władanie świetnym zresztą głosem i nie odzowna trema aktorska, były na razie przeszkodą dla Malawskiego w osiągnięciu tych sukcesów, jakimi się dzisiaj cieszy.

Dziś jest Malawski wyszkolonym, świetnym śpiewakiem i aktorem operetki. W repertoarze swoim liczy z górą 50 oper lżejszych i 100 operetek! W osiągnięciu niebywałych tych wyników, pomaga mu znakomicie niezwykły zmysł słuchu, wrodzona inteligencya i wykształcenie. To też w krótkim czasie stał on się ulubieńcem lwowskiej publiczności, która bez Malawskiego nie może sobie po prostu wyobrazić — nadpełtwiańskiej operetki!..

KREW CYGAŃSKA

NAPISAŁ
E. VEZZARO.

4 (Dokończenie).

Tylko hrabia Nondikow był cichy, zamknięty w sobie i jakiś zadumany.

Mój urlop się już kończył. Wiedziałem, że z dnia na dzień wzrastało przywiązanie wzajemne baronowej i Alicyi — a wkrótce, gdy już choroba baronowej zupełnie ustąpiła, widywałem je obie, jak pod rękę spacerowały po parku.

W końcu na parę dni przed odjazdem, postanowiłem zrobić rozstrzygający krok.

Udałem się do barona i powiedziałem mu wszystko, co myślę o Alicyi i Wandzie.

Zostałem jednak przyjęty zimno, nawet z widoczną niechęcią, zrozumiałą tembardziej, że już tyle razy został oszukanym.

Musiałem odjechać do Wiednia, gdyż już zaczynał się mój *engagement*, a przy ogromnej ilości zajęcia i pracy, mało miałem czasu na zajmowanie się dalszym losem Alicyi.

Ona pisywała dość często nawet do mnie a i ja odpisywałem jej na każdy otrzymany list. Z listów jej przebijało ciche zadowolenie i radość ze swego losu — ale równocześnie można było wyczytać między wierszami i z poszczególnych słów, rzuconych bez ściślejszego związku z innemi zdaniami, że trawi ją i w duszy włada tęsknota tajemna i gorące pragnienie spełnienia czegoś, co serce strasznie pokochało.

Było to jednego dnia.

Cyrk, w którym występowałem, był pełny i właśnie rozpoczęły się produkcye na koniu, gdy nagle w loży zobaczyłem moich znajomych z Aradu, a mianowicie hrabiego Nondikow, siedzącego z prawej strony Alicyi, która miała twarz uśmiechniętą i oczy błyszczące radością, a obok baronową, która widocznie już całkiem wyzdrowiała. Za nimi siedział sam baron, który przyglądał się moim produkcyom z widocznem zainteresowaniem.

Po przedstawieniu oczekiwał na mnie stary [illegible] który poprosił mię w imieniu baronostwa, [illegible] zajść do nich.

Tam dowiedziałem się następujących ciekawych rzeczy:

Przed kilku dniawi otrzymał baron Fejerhazy list od Wandy z pieczątką pocztową z Nowego Jorku. W liście tym donosiła Wanda, że nie ona, ale Alicya jest rzeczywistą córką baronowstwa.

Matka Wandy, cyganka, ukradła Alicyę ze zamku z zemsty za to, że baron kazał raz obatożyć jej męża. Z trwogi jednak przed potężną wolą pana Aradu, uciekłai walcząc często z niedostatkiem i głodem, z trudnością udało jej wymknąć się policyi, która często wpadała na jej ślady.

Złożona w końcu chorobą, po paroletniej wędrówce, oddała swe dzieci do trupy cyrkowej, którą spotkali w Alzacyi. Sama pozostała także przy tej trupie — a gdy po paru latach umierała, dzieci oddała dyrektorowi, prosząc go, by Alicyę odesłał rodzicom.

Jednak stało się inaczej.

Oba dzieciaki były przedewszystkiem pupilami całej trupy — a sam dyrektor był w dzieciach zakochany i nie chciał się zgodzić na rozstanie z niemi. Myślał może, że kiedyś zarobi na ich występach pieniądze! I w tym wypadku nie omylił się, gdyż przez kilka lat obie „siostry“ występowały w jego trupie, objeżdżając całą Francyę.

Nagle jednego dnia Wanda z Alicyą uciekły do Paryża — i tam zostały zaangażowane na występy.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się Wandzie zabrać wszystko — co jej i Alicyi dotyczyło.

Wkrótce potem powróciły obie siostry do Budapesztu, gdzie miała rozwiązać i wyjaśnić się cała historya ich życia.

Na zamku w Aradzie zakochał się hrabia Nondikow w Alicyi i poznał jej dobre i szlachetne serce, którem górowała nad swą rzekomą siostrą Wandą. W zimie jeszcze przyszedł do skutku ich ślub — a przedtem jezzcze i baron i jego żona uznali Alicyę istotnie za swą córkę, gdyż serdeczny stosunek jej do baronowej mógł wypływać tylko z niewidocznego ale istotnego związku pokrewieństwa.

Życie moje płynęło jak i przedtem, prawdziwie po cygańskie. Jeździłem z różnemi trupami do różnych miast.

Poznawałem coraz nowych ludzi, coraz nowe historye zaprzątały mi głowę — i zapomniałem nawet już o Wandzie. Pewnego razu spatkałem ją przypadkowo w Wiedniu.

Był to prawdziwy przypadek!

Spotkałem ją w jednej z podrzędnych restauracyj na przedmieściu, gdzie pełniła rolę kelnerki.

Byłem zdziwiony, że spotykam ją w takiem otoczeniu i oczom swoim nie chciałem wierzyć!

Otaczał ją dziki i pijany tłum, a ona — zdawało się — że czuje się panią wśród tego wstrętnego, cuchnącego wódką żywiołu! Wydało mi się, że najlepiej właśnie czuje się w takiem towarzystwie.

Chciałem do niej przemówić, ale nie wiedziałem z czem się odezwać.

Zdawało mi się, że musiała już zapomnieć mówić do ludzi.

Twarz jej podobną była do maski: wyniszczona i zdaje się przemęczona, czarowała jeszcze i podbijała ten tłum spitych wielbicieli swemi czarnemi, błyszczącemi, jak żarzące się ogniki, oczyma. Głos jej był jakiś przedarty, a śmiech suchy i szorstki — tylko w oczach jednych znać było życie.

Po pewnym czasie zaszedłem do tego samego zaułku na przedmieściu — ale nie zastałem już Wandy.

Powiedziano mi, że zmarła w szpitalu z ran, które jej w bójce zadał jeden z jej adoratorów.

KONIEC.

ANTONI CZECHOW.

WILK

(Z prac drukowanych po śmierci autora).

Z rosyjskiego przełożył M. S,

Zamożny ziemianin Niłow, barczysty, silny jak tur mężczyzna, znany w całej guberni z swej nadzwyczajnej siły, wracając wraz z sędzią śledczym Kuprianowem z polowania do domu, zaszedł do młyna starego Maksyma. Obaj myśliwi mieli do domu niedalej, jak dwie wiorsty, ale byli tak zmęczeni, że postanowili dłuższy czas odpocząć w młynie, i to tembardziej, ponieważ stary Maksym miał zawsze znaczny zapas herbaty i cukru, a oni sami nieśli w swych torbach wódkę, koniak i przekąski różnego rodzaju.

Stary Maksym przyjął swych gości z otwartemi ramionemi, a myśliwi siadłszy za stołem i zaspokoiwszy głód, wzięli się do herbaty i gawędki.

— A cóż tu u was słychać nowego dziadku?— zapytuł Niłow Maksyma.

— Nowego? — zaśmiał się stary — ano chyba to słychać nowego, że chciałem prosić waszą miłość o pożyczenie mi jakiej strzelbiny!...

— A na cóż wam tej strzelbiny dziadku?

— Po co? Ot właściwie to ona mi niepotrzebna, a człowiek mówi ot tak, żeby tylko gadać. Przecież za kiepsko widzę, żebym mógł strzelać!... Czort wie skąd, ale zabłąkał się wściekły wilk w nasze strony i od dwóch dni kręci się już w tej okolicy. Wczoraj pod samą wsią zarżnął konia i rozdarł dwa tęgie brytany, a dziś rano, kiedy o świtaniu wyszedłem przed młyn, patrzę, a ta szelma przeklęta siedzi sobie na łące i tłucze się łapskiem po pysku. „Ahu“! wołam do niego, a on patrzy na mnie takiemi niesamowitemi oczyma, jak zły duch. Ja rzucam na niego kamieniem, a on psubrat zęby do mnie wyszczerzył, oczyma błysnął jak pochodniami i potem powoli zaczął się skradać w stronę lasku... Mówię waszym miłościom, że się niemało przestraszyłem!

— Dyabli wiedzą!... — zamruczał sędzia śledczy Kuprianow — wściekły wilk szasta się po okolicy, a my włóczymy się, jak gdyby nic nam nie zagrażało!...

— Wielkie rzeczy! przecież mamy strzelby ze sobą!

— Nie będziesz chyba Niłow świtem strzelać do wilka!..

— Po co strzelać zaraz? Kolbą można go ubić poprostu!

I Niłow zaczął udowadniać, że niema chyba nic łatwiejszego, jak kolbą zabić wilka, przyczem opowiedział wypadek, w którem jednem uderzeniem zwykłej laski, rozciągnął ogromnego, wściekłego brytana.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

ułożył W. K.

I

Gdy pierwsza i trzecia suknie ubiera,
To *pierwsza* i *czwarta* w zwierciadło spoziera,
Lecz nikt jej tego nie *drugie* i *trzecie*,
Bo to właściwe jest każdej kobiecie.
Całość zaś bardzo postać to dawna.
Swoją twórczością w świecie była sławna,
Gdy zagra, bywało – wszystkich wstrząsa dreszczem...
Był muzy kochankiem i muzyki wieszczem:
Niestety jednak, dzisiaj już nie żyje,
Pamiątkę zaś po nim pewne miasto kryje.

II.

Pierwsze drugie poszukaj na głowie,
Trzecie czwarte pielęgnują panie, nie panowie.
Całość, gdy piękna, zdrowa i bogata,
Chciałbyś ją posiąść, aż na długie lata.

Logogryf.

ułożył W. K.

a, i, i, o, ce, pe, ci, au, ty, biz, su, lo, nie, tru, zan, wo, tur, to, eu, der, mur, ku, metr, sa, wiec, rze, ak, mut, nicz, he, re, cen, ni, li, mur, ska, mus,

Z powyższych zgłosek ułożyć 12 wyrazów w ten sposób, aby początkowe litery, czytane z góry do dołu i końcowe, czytane odwrotnie – dały dwie powieści znakomitego powieściopisarza polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Starożytni mieszkańcy Sparty.
2. Wynalazca termometru.
3. Miasto w Mongolii.
4. Metal.
5. Dwie miejscowości kąpielowe, połączone spójnikiem.
6. Zwierzęta nocne.
7. Rzeka w Azyi.
8. Miara dziesiętna
9. Sławny wódz japoński.
10. Planeta.
11. Postać z „Quo vadis“.
12. Dowódzca floty spartańskiej w wojnie pelop.

Logogryf.

Z sylab: a, a, al, ca, ce, czas, du, e. go, ha, ho, i, ił, in, ka, ko, ku, la, lar, lek. li, li, lo, ła, ło, mech, nik, no, no, ność, o, pli, pło, por, pusz, rat, roz, rzec, so, ści, ter, top, tor, trycz, zy – ułożyć 17 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, utworzą dwie znakomite komedye polskie.

Znaczenie wyrazów:

1) Siła fizyczna. 2) Roślina. 3) Rodzaj gruntu. 4) Jezioro. 5) Nazwa wylewu wody. 6) Spójnik. 7) Sprawozdanie handlowe. 8) Przyrząd używany w medycynie. 9) Imię męskie. 10) Pojęcie fizyologiczne. 11) Imię męskie. 12) Osada w Kieleckiem. 13) Rodzaj gadów. 14) Napój. 15) Herb. 16) Miara. 17) Ciała chemiczne.

Arytmogryf literacki.

W niżej podanych kombinacyach, zamiast liczb, wstawić odpowiednie litery tak, aby w utworzonych w ten sposób 15 rzędach, a 16 wyrazach, grubszym drukiem oznaczone litery, pierwsze czytane z góry na dół, a drugie z dołu do góry, dały imiona i nazwiska dwóch wielkich poetów polskich połączonych spójnikiem „i“.

Kombinacye.

22 27 **8** 13 25 22 26 8 2 2 11 22 20 **25** 8 6 22 4 25
8 **14** 8 16 16 22 **4** 25
9 **8** 13 4 8 22 20 10 28 2 25 **24** 7
16 8 10 11 8 4 28 13 28 20 13 25 24 4 **8**
16 8 24 25 1 9 22 7 12 4 25 1 **2** 25 24 7
8 13 27 28 13 **25** 21 8 13 19 1 28 10 **28** 27
24 7 1 22 **26** 8 2 9 8 13 4 28 **2** 22 4 25
4 8 7 25 16 25 1 10 7 19 31 25 6 **22** 4 25
4 8 7 **25** 16 25 1 10 **7** 27 **1** 27 16 8 9 1 10
7 **1** 13 28 13 20 10 7 1 **22** 16 11 24 4 25
2 25 4 27 28 10 19 28 16 **12** 21 25 24 4 25
9 3 7 1 23 2 **25** 5 13 25 28 2 22 4 **25**
21 12 **24** 11 8 13 10 11 14 1 **21**
13 9 1 10 **7** 11 15 **12** 26 8 2 22 4 25
8 13 14 10 7 1 9 13 **25** 1 16 28 **9** 1 2 22 4 25

Poszczególne kombinacye przedstawiają imiona i nazwiska lub pseudonimy współczesnych wybitniejszych poetów polskich. W szóstym rzędzie powyższych liczb, wyjątkowo umieścić należy dwa nazwiska, we wszystkich zresztą innych po jednem imieniu i nazwisku.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Romanse Lilii“. – „Dziewice Skał“
Gabryela D'Annunzio.

Rozwiązania z Nru 13.

Rebus: Wychowanie młodzieży dziś bardzo wiele pozostawia do życzenia.

Szarada: Warszawa.

Arytmograf: Kazimierz Tetmajer.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp.: Remiszewski Załawie, Opolska Czarny Dunajec, Stadnik Grabiny, Domain Brzozów, Kamiański Sokal, Duszyński Niepołomice, T. Rząoowa Kraków, Szwabowicz Żurawno, Mytych Ostrowy, Mokrzycka Turbia, Bogdalska Koropuż, Rożański N. Sącz, St. Łaszkiewiczowie Słotwina, K. Chodkiewicz Zbydniów, Zollner Tarnopol, Smaga Śniatyn, Ungeheuer Rzeszów, Josefert Kraków, Chłopicka Zawałów, Kisielewski Strvj, Budkiewicz Sucha, E. Noss Czortków, Ramoszyński Bochnia, Rokicka Stanisławów, Zielińska Manajów, Badura Rożdzień, Żabka Biała. Arbesbauer Lwów, Ramułtowa Jeżów, Płoszewski Tarnów, Hałdziński Lichwin, Fuchs Peczeniżyn, G. Jakoby Lwów, St. Śliwa Gorlice, Biegoń Ślemień, Dr. Dolnicz Stryj.

Nagrodę przez losowanie otrzymała P. Chłopicka w Zawałowie. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.